

Piotr Mikołajczyk

# Crothoszino

*Prawdziwe i legendarne początki Krotoszyna*

Korekta:

Agata Kajewska  
Ilona Suchodolska  
Marek Ratajczak

Projekt graficzny, skład i fotografie:  
Bartosz Mnich

Wydanie drugie - poprawione  
Krotoszyn 2014

ISBN: 978-83-933739-0-1







## **Spis treści**

Wstęp

Podanie o krotoszyńskiej nazwie

Odrzygoścka

Zbójecki kamień

Studnia kaźni

Legenda o studni św. Marcina

Kamienny pies

O niegrzecznym dziecku

Podanie o nazwie wsi Roszki

Trzy Młyny

Legenda o św. Jadwidze



*Powtarzaj stare zaklęcia ludzkości, bajki i legendy,  
bo tak zdobędziesz dobro, którego nie zdobędziesz.*  
Z. Herbert



## Wstęp

*Powiadają, że w każdej legendzie tkwi ziarenko prawdy, lecz nie lada sztuką jest to ziarenko w niej odnaleźć. Oddajemy w Państwa ręce album zawierający dziesięć, wybranych przez nas podań dotyczących okolic Krotoszyna. Każde z nich zostało dobrane i przekształcone w taki sposób, aby jak najwierniej wpisywało się w czasy, kiedy to rycerz Wierzbęta lokował nasze miasto. Wyjątkiem jest tu legenda o Świętej Jadwidze, którą ze względu na fabułę osadziliśmy w pierwszej połowie XIII wieku.*

*Mamy nadzieję, że nasza publikacja zainteresuje Państwa tym jakże ciekawym i nie do końca poznanym okresem funkcjonowania naszego miasta, szczególnie w perspektywie 600 rocznicy nadania Krotoszynowi praw miejskich. Liczymy, że nasz skromny album będzie stanowił swoisty wstęp do przygotowań tej, jakże ważnej dla naszego miasta, rocznicy.*

*Celem niniejszej publikacji jest przybliżenie Państwu legend związanych z Ziemią Krotoszyńską i zestawienie ich z faktami. Dlatego też, obok sfabularyzowanych przez nas podań, znajdą tu Państwo stosowne wyjaśnienia dotyczące treści legend oraz zawartych w nich pojęć. Wszystkie zamieszczone w albumie fotografie przedstawiają działalność Poczty Wierzbęty z Krotoszyna.*

*Poczet Wierzbęty herbu Łódzia jest jedną drużyn Stowarzyszenia Bractwo Rycerskie Ziemi Kaliskiej. Grupa zajmuje się rekonstrukcją historyczną kultury materialnej i duchowej z okresu lokacji miejskiej Krotoszyna w 1415 r. Oddział zrzesza osoby w różnym wieku, zamieszkujące obszar południowej Wielkopolski, głównie okolice Krotoszyna i Kalisza.*

*Niniejsza publikacja została w 2011 roku sfinansowana przez Urząd Miejski w Krotoszynie w ramach otwartego konkursu ofert (Zadanie nr 10 – wspieranie działań na rzecz upowszechniania kultury i sztuki oraz ochrony dóbr kultury i tożsamości kulturowej), a dodruk jej kolejnej partii w roku 2014 został wsparty finansowo przez Burmistrza Krotoszyna. Oryginalne wersje legend są dostępne na oficjalnej stronie internetowej Krotoszyna ([www.krotoszyn.pl](http://www.krotoszyn.pl)) oraz w Muzeum Regionalnym im. Hieronima Ławniczaka.*

*Poczet Wierzbęty z Krotoszyna zaprasza Państwa do wspólnej podróży w fascynujące początki XV stulecia.*



## Podanie o krotoszyńskiej nazwie

Piotr usiadł na dębowej ławie. Był stary. Jego pomarszczona twarz przypominała oparty o ścianę kominka, sękaty kostur, którym zwykł był się podpierać. Poglądził przeredzoną, siwą brodę i rozejrzał się wokoło szarymi, zmęczonymi oczyma.

W karczmie panował półmrok. Błony ponaciągane w oknach nie wpuszczały do środka promieni zachodzącego już słońca, a rozstawione na stołach lichtarze z woskowymi świecami i płonący na palenisku ogień dawały jedynie blady, drgający poblask. Nie przeszkadzało to jednak gościom. W izbie było dość tłoczno i gwarno. Przy kilku solidnych ławach ściśnięci mieszczenie wolno sączyli podpiwek, grali w kości albo z lubością łączyli obie te czynności.

Blade światło nijak nie odstraszało także przyjezdnych, którzy towarzyszyli przybyłemu tu w południe kupcowi. Po mowie zdało się poznać, że handlarz ów podróżuje od panów pruskich, prawdopodobnie w kierunku Wrocławia, a towarzysząca mu obstawa składała się z dwóch zbrojnych drabów oraz trzech pacholików. Sam kupiec zasiadł na wieczerzę w alkierzu, eskorta zaś wraz ze służbą rozgościła się przy jedynej, wolnej ławie. Jak się też okazało, całkiem dobrze władali językiem polskim, nie licząc nieznośnie twardego w wymowie „r”.

– Powiedźcie no zacni mieszczenie co to w ogóle za nazwa? Co to jest to wasze Crothoszino? – zapytał podochocony nieco piwem zbrojny, wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w sile wieku, ubrany w prosty aketon i uzbrojony w nieduży kord zawieszony u pasa.





– Skąd ta nazwa rzeknijcie, bom rad poznać? – kontynuował.

Piotr spojrział uważnie na zbrojnego draba. Chwycił swój kostur i niepewnie, podpierając się wstał. Chciał zrazu coś powiedzieć, jednak język uwiązł mu w zaschniętym gardle, a z ust wydobył się tylko niewyraźny charkot. Jeden z grających w kości mieszczan, podsunął starcowi gliniany kubek z podpiwką. Starzec chwycił podarunek, przechylił i wypił, ku rozpaczy ofiarodawcy niemal do dna. Otarł wąsy i brodę rękawem znoszonej, zielonej jopuli i odchrząknawszy rzekł:

– Witajcie panie w naszych skromnych progach! – rozpoczął nieco chrapliwie, po czym odkasznął – Otóż z nazwą naszego miasteczka jest tak. Tu nieopodal, przy trakcie na Poznań, jest wieś zwana Starym Krotoszynem. Dawno temu żył w niej szlachetny i waleczny rycerz, którego wołali Krotom. Ów Krot miał zaś jedyne go syna, któremu wiele lat przed swoją śmiercią zapisał część majątku i pobił dla niego całkiem obszerny kasztel. Ludziska z okolicy zwykli byli potem mówić, że tam mieszka Krot, a tam Krotom syn. No i sami wiecie panie, mowa z czasem się złała, „Krot” się z „synem” połączył w jedno i tak powstał „Krotoszyn”. Ot i cała historia.

#### **SKĄD POCHODZI NAZWA KROTOSZYN?**

W tekstach źródłowych nazwa Krotoszyn zapisywana jest najczęściej jako Crothoszino. Legenda zwraca naszą uwagę na fakt, iż nazwa miasta ma związek z imieniem Krot oraz ze słowem syn. Jest zatem w podaniu ziarenko prawdy, ponieważ słowo Krotoszyn pochodzi od imienia Krotosza. Oznacza ono własność Krotoszy, a samo imię wywodzi się od staropolskiego krotki, czyli pogodny, łagodny, miły.

#### **POJĘCIA WYSTĘPUJĄCE W TEKŚCIE**

**Błony ponaciągane w oknach...** – szklane szyby w opisywanym przez nas czasie pojawiają się przede wszystkim wśród zamożnych mieszkańców dużych miast, w siedzibach możnych oraz oczywiście w świątyniach. W miastach takich jak Krotoszyn otwory okienne wypełniano błoną, wykonaną z rybich pęcherzy, bydłowych żołądków, skór, papieru, płótna lub nawet cienkich deseczek, stąd we wnętrzach pomieszczeń często panował półmrok. Szkło na szerszą skalę pojawiło się dopiero w XVI wieku, ale i tak błon w oknach używano aż do XVII stulecia.

**...od panów pruskich, prawdopodobnie w kierunku Wrocławia...** – co prawda główny szlak z Państwa Zakonnego (z Torunia) do Wrocławia wiódł przez Kalisz i Oleśnicę, jednakże można było też podróżować przez Poznań, Krotoszyn i Trzebnicę.

**...ubrany w prosty aketon i uzbrojony w nieduży kord...** – aketon to przeszywanica, czyli gruby, pikowany kaftan, wykonany z wielu warstw płótna. W XIV i XV wieku przeszywanice były zazwyczaj z przodu wiązane lub zapinane na guziki. Z kolei kord to prosta, plebejska broń w postaci długiego (ponad 30 cm), jednosiecznego noża, wyposażonego czasami w jelec (poprzeczną gardę chroniącą dłoń podobnie jak w mieczu).

**...rękawem znoszonej, zielonej jopuli...** – jopula to po prostu średniowieczna nazwa męskiej odzieży. Jopula wierzchnia oznaczała różne rodzaje strojów wierzchnich, jopula spodnia to dublety – zakładane pod spód kaftany, do których podwiązywano nogawice.







## Odrzygoścka

Jan cieszył się, że dotarli wreszcie do miasteczka. Wraz z córką i pacholkiem przed dwoma dniami opuścił Kalisz i po nocy spędzonej w Raszkowie jeszcze przed zmierzchem zawiątał w Krotoszynie. Podróż dotychczas przebiegała spokojnie, wręcz monotennie. Odludny trakt porośnięty gęstymi lasami przecinały liczne potoki i otaczały stawiska – takie jak to nad którym stała karczma.

Krotoszyn był niewielkim miasteczkiem, otoczonym zasieką i położonym na obszernym półwyspie, pomiędzy kilkoma, znacznych rozmiarów stawami. Można było się do niego dostać jedną z trzech bram: wrocławską, poznańską i kaliską. Sama karczma usytuowana nad jednym ze stawów i wśród miejscowych nosiła miano „Odrzygoścki”, ponieważ jej właścicielka miała zwyczaj „odzierać z grosiwa” co zamożniejszych gości.

Kupiec stał właśnie przed rzeczonym przybytkiem i doglądał wyprzęgania koni oraz przenoszenia licznych bel przedniego sukna. Zajazd, podobnie jak całe miasteczko, pobudowany był w całości z drewna, którego w okolicy nie brakowało. Dach gospody kryty był średniej jakości gontem i w kilku miejscach wymagał już naprawy. W cieniu budynku, na dębowej ławie siedzieli trzej, wyrośnięci, ukochani synowie miejscowej karczmarki popijając raz po raz z pokaźnego gąsiora. Zajmowali się przede wszystkim głośnym komentowaniem wysiłków swojego najmłodszego, nieco wychudzonego brata, który wraz z kupieckim pacholkiem uwijał się przy wozie ledwie unosząc ciężkie rulony szlachetnej materii.

Kupiec widział już kilkakrotnie podobne sceny. Było tak zawsze, gdy tylko zjawiał się w krotoszyńskiej karczmie podczas swoich wypraw do Wrocławia. Wiedział, że miejscowa, karczmarka marzy o wielkopańskim bogactwie dla siebie i swoich trzech starszych synów. Najmłodszego kobieta uznawała zaś za niedorajdę i głupca, więc nie wiązała z nim żadnych planów.

Wóz wyładowano. Sukno trafiło do zamykanego na klucz alkierza, gdzie jak sądził Jan miało być bezpieczne. Wóz został przed karczmą, konie odprowadzono do niewielkiej stajni, a synowie karczmarki przestali rechotać i kpić z brata skupiając całą swoją uwagę na gąsiorku.

– Tatko, tatko! – Zawołała wesoło Basia, urodziwa, kilkunastoletnia córka





kaliskiego kupca – Mogę pójść z Bartkiem na spacer wokół stawu? Taka piękna pogoda. Wrócim przed zmierzchem.

Jan zmarszczył brwi i srogo spojrzał na młodziana, ten zrazu poczerwieniał. Kupiec go lubił, zawsze był pomocny i wesoły, zawsze towarzyszył Basi w jej przechadzkach po okolicy. Jan podejrzewał, że chłopak darzy jego córkę „jakowym afektem” i wydawało mu się, że ze wzajemnością. Z całych sił usiłował przybrać srogi wyraz twarzy, jednak widok uśmiechniętej córki całkowicie zniweczył jego starania.

– Idź... – westchnął bezradnie. Miał słabość do Basi. Od czasu śmierci matki zawsze towarzyszyła mu w jego handlowych wyprawach i tak właśnie poznała Bartka, najmłodszego z synów karczmarki – Ale wróć przez zachodem słońca, bo cię jeszcze do stawiska utopce wciągną – rzucił jeszcze za odchodzącą żwawym krokiem parą.

Kupiec odwrócił się do stojącego obok pachółka:

– Idź za nimi – powiedział szeptem – i bacz co by im się nic nie stało, za wiele już się o tej karczmie nasłuchiwałem...

A nasłuchiwał się sporo. Niektórzy nawet opowiadali o tym, że chciwa karczmarka usypia gości ziołowymi naparami, a następnie ich okrada. Jednak mimo wątpliwej reputacji zajazdu i jego właścicielki, Jan wolał zaryzykować noc w „Odrzygoście” niż jechać przez należący do Wezenborgów Odolanów, a następnie dać się ograbić na niebezpiecznych, śląskich gościńcach przez pleniących się tam raubritterów. Znacznie bardziej odpowiadała mu podróż bezpiecznym, pielgrzymim szlakiem do Trzebnicy i Wrocławia.

Pacholek spokojnym krokiem ruszył w ślad za parą, znikającą właśnie wśród porastających staw drzew i krzewów. Jan odprowadził go wzrokiem, po czym wszedł do wnętrza karczmy. Na początku nie zobaczył nic, pomimo otwartych drzwi i okien. Jego oczy musiały się przyzwyczaić do panującego w izbie półmroku. Tę drobną niedogodność rekompensował jednakże panujący w zajeździe przyjemny chłód.

W gospodzie nie było nikogo. O tej porze miejscowi dopiero kończyli obrabiać pola, a pracy w czasie żniw nigdy nie brakowało. Koszono zatem, młócono, układano, przenoszono, a odgłosy tychże czynności i nawoływania żniwiarzy słyszeć było bezbłędnie.

Obok szynku i dość okazałych rozmiarów kominka stało tu kilka stołów i ław z rozstawionymi nań świecznikami i lampionami. Ściany pomieszczenia wyłożono wzorzystymi materiałami, gdzieś tam podziurawionymi przez mole oraz przez niemających co zrobić z rękoma gości zajazdu.

Karczmarka stała za szynkiem i przecierała gliniany dzban. Leciwa już kobieta miała na sobie prostą, granatową cotte simple, przepasaną ubrudzonym nieco fartuchem, a zapewne siwe już włosy ukryte były pod misternie upiętą chustą. Karczmarka obserwowała go. Obserwowała bardzo uważnie. Jan znał ten wzrok, zauważył już kiedyś w jaki sposób karczmarka spogląda na dobra przejeżdżających wtedy kupców. Widział jak zerka na sakiewki podróżnych, wiedział też, iż musi mieć się na baczności, aby nie zostać przez pazerną kobietę oszukanym.

Kupiec spojrzał obojętnie na gospodynię i ruszył w stronę alkierza. Ciężkie, okute



drzwi były otwarte. Wszedł do środka zręcznie wyjmując tkwiący w zamku klucz i zamknął się w pomieszczeniu. Dokładnie przeliczył przeniesione przez służbę bele sukna, po czym począł sprawdzać ściany i okna. Szukał jakowys sekretnych przejść. Szukał uważnie, odsuwając nawet stojące w pomieszczeniu skrzynie.

– Czy coś się stało? – Usłyszał zza drzwi nieco cierpki głos karczmarki. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wścibska kobieta na pewno zainteresowała się dźwiękami, które dochodziły z alkierza.

– Nie frasujcie się dobra kobieto, wszystko w należytym porządku – rzekł, po czym ostrożnie zarygłował okiennice i cichutko zamknął okno.

– Gdyby czego było wam trza to synów przyślę – nie ustępowała karczmarka. Jan podświadomie wyobrażał ją sobie podsłuchującą pod zamkniętymi drzwiami, lub jeszcze pewniej, zerkającą przez dziurkę od klucza.

– Nie, dobra kobieto, tylko posłania rozkładam – rzekł gromko i ruszył w stronę drzwi.

– A może jednak pokoje każę przygotować? W alkierzu niewygodnie – nie ustępowała właścicielka zajazdu.

– Nam wygod nie trza! – krótko i stanowczo zakończył rozmowę kupiec otwierając jednocześnie drzwi. Tuż za nimi, jak się spodziewał, stała karczmarka. Nadal wycierała, chyba ten sam gliniany dzban, a jej świdrujący wzrok sprawił, że kupca przeszedł dreszcz. Opanował się jednak.





– Przygotujcie wieczerzę, bom zdrożony i pewnikiem sen mnie wcześniej zmorzy – rzekł, po czym nie patrząc na nią ruszył w stronę najbliższej ławy. Kobieta milcząc ruszyła w stronę szynku.

Kupiec postanowił przedsięwziąć wszelkie, niezbędne środki ostrożności, mające zaradzić ambicjom gospodyni. Kazał wszystkie towary przenieść do zamykanego na klucz alkierza i przygotować tam trzy posłania – dla siebie, córki i pachółka. Sakiewkę z pieniędzmi zawiesił sobie na szyi i trzymał pod koszulą, jak najbliżej ciała. Jednak im dłużej w tym miejscu przebywał tym bardziej wątpił, czy podróż tą właśnie drogą na pewno była dobrym pomysłem. Obiecywał sobie w myślach, że następnym razem już tędy nie pojedzie.

– Przemko! – wrzasnęła karczmarka,

aż Jan podskoczył. Leżący pod ławą i zmęczony upałem pies ani drgnął, przyzwyczajony widać do wrzasków swojej pani.

– Czego chcecie matko? – zawołał jeden z synów, który w tejże chwili stanął w drzwiach gospody.

– Idź kochaneczku z braćmi i narąb drwa, bo muszę dla szanownych gości stawę przygotować – rzekła głosem słodkim aż do obrzydzenia.

– Niech Bartek rąbie – odpowiedział stanowczo Przemko.

– Ta niedojda gdzieś poszła i się z nim później policzę – powiedziała zerkając na kupca – narąb drwa, to i nam kolację iście pańską przygotuję.

Okrągłą twarz Przemka ozdobił szeroki uśmiech. Chłopak zniknął za drzwiami, a po chwili zza karczmy dało się słyszeć wesołe rozmowy, pogwizdywania i śmiechy dochodzące pośród odgłosów rąbanego drewna.

– Podajcie dobra kobieto coś do picia, bo mi w gardle zaschło – rzekł i wyciągnął zza koszuli sakiewkę, wysypując jej zawartość na ławę. Kilka groszy, półgroszy, trzeciaków, a nawet florena. Oczy karczmarki rozbłysły. Dopiero teraz Jan zmitygował się jakie głupstwo zrobił i zręcznym ruchem schował pieniądze do sakwy, zostawiając tylko trzeciaka.

– Macie pani – rzekł – to za wieczerzę i nocleg. Powinno wystarczyć.

Karczmarka wzięła monetę i ruszyła, jak w transie, w stronę szynku. Weszła do kuchni i cicho zamknęła za sobą drzwi. Wiedziała, że to jest jej szansa, że właśnie teraz musi zaryzykować i wcielić w życie plan, który przyszedł jej do głowy już dawno, dawno temu. Wędrujący

kupiec z dziewczyną i pacholikiem, wóz pełen drogiego sukna to okazja, która może się już nigdy nie powtórzyć.

Drżącymi dłońmi wyjęła z dna skrzyni misternie związany zwitek z ziołami. Tojad. Uważnie rozejrzała się po izbie, po czym niezdarnie, nadal drżąc, rozwinęła pakunek. Wzięła szklany dzban i wysypała doń solidną ilość zmielonego korzenia, po czym całość zalała cierpkim winem i solidnie wymieszała. Wzięła głęboki wdech i wyszła z kuchni.

Jan zauważył idącą w jego stronę kobietę.

– Pozwólcie dobra kobieto, że poproszę najpierw o nieco chłodnego piwa z piwniczki. Wina skosztuję do kolacji – rzekł odruchowo kupiec.

Karczmarka niepewnie postawiła dzban na ławie, po czym nieco zmieszana ruszyła w stronę kuchni. Ależ ze mnie głupiec – pomyślał Jan – przez te upały zaczynam wariować i wierzyć tym plotkom o usypianiu... Chcąc wykorzystać nieobecność karczmarki wstał i poszedł do alkierza, by jeszcze raz przeliczyć bele sukna.

Sprawdzając dobytek i ponownie zabezpieczając izbę Jan wpadł w swoisty trans, z którego wyrwały go dopiero dochodzące z sali odgłosy. Wyjrzał ostrożnie i zobaczył trzech, spoconych i zmęczonych synów karczmarki, którzy właśnie opróżniali przyniesiony przez matkę dzban.

– Ostre! – rzekł najstarszy z synów – dziwny ma posmak, takiego jeszcze nie pilim,

– Ano! Ale wypijem, skoro matka podała – odpowiedział Przemko i gromko się zaśmiał.





– Bratkowie! – rzekł kupiec wychodząc z alkierza i ponownie zamykając go na klucz – wypiliście moje wino.

– Wybaczcie Panie, zaraz wytoczmy nowy antał! – zmitygował się najstarszy, po czym wszyscy gromko zarechotali i ruszyli w stronę kuchni zataczając się nieco.

Opoje, od rana nic nie robią, tylko piją, pomyślał kupiec, po czym zajął swoje miejsce. Nie zauważył, że bracia coraz bardziej ślaniają się na nogach. Nie zauważył też, że już w kuchni, podpierając się ściany chwycili za swoje gardła. Nie usłyszał prób krzyku karczmarczych synów, którzy dusili się i dławili. Usłyszał jednak głuchy odgłos upadających ciał oraz nieludzki, rozdzierający krzyk kobiety. Krzyk, od którego po plecach ponownie przebiegł mu dreszcz.

Zerwał się na równe nogi i wbiegł do kuchni. Na podłodze, w konwulsjach, uchwyciwszy się gardeł konali synowie karczmarki. Dogorywali z wytrzeszczonymi oczyma i z krwawą pianą toczącą się z ust. Ich matka trzęsła się stojąc w rogu kuchni, tuż przed drzwiami do loszku. W rękach ścisnęła antał z zimnym piwem. Kobieta rzuciła nienawistnym spojrzeniem na kupca, po czym minawszy umierających synów i odtrąciwszy go na bok wbiegła do sali. Spojrzała na opróżniony dzban, zawyla dziko i rzuciła się w stronę wyjścia z karczmy, wpadając na wracającego ze spaceru, młodszego syna. Odepchnęła go niemal wywracając i rzuciła się do położonego tuż za karczmą stawiska. Po kilku chwilach zniknęła pod taflą czerwonej od zachodzącego słońca wody.

### **KROTOSZYŃSKA KARCZMA**

Biorąc pod uwagę wielkość Krotoszyzna, jest bardzo prawdopodobne, iż funkcjonowała tu jakaś karczma. Najstarszy przybytek tego typu, co do istnienia którego mamy pewność, mieścił się u zbiegu dzisiejszej Alei Powstańców Wielkopolskich z ulicą Ostrowską, czyli już poza obrębem miasteczka – kilkaset metrów od bramy kaliskiej.

Legenda o „Odrzygośćce” wspomina, że po opisanych w podaniu wydarzeniach najmłodszy syn karczmarki i kupiecka córka pobrali się i założyli karczmę „Pod Złotym Lwem”. Los starej karczmy jest tłumaczony dwojako. Według jednej wersji przybytek miał się wraz z karczmarką zapaść po ziemię i dać początek jezioru Odrzykowskiemu. Według innej wersji karczmę opuszczono i omijano z daleka, ponieważ miały w niej straszyć duchy właścicielki i jej synów.

### **POJĘCIA WYSTĘPUJĄCE W TEKŚCIE**

**... po spędzeniu nocy w Raszkowie...** – w przeciwieństwie do czasów obecnych, 600 lat temu główny szlak do Kalisza nie przechodził przez Ostrów Wielkopolski, ale właśnie przez Raszków, stamtąd do samego Kalisza wjeżdżano od strony północnej, nie zachodniej jak współcześnie.

**...otoczoną zasieką...** – Krotoszyn wyglądał dokładnie tak, jak opisano to w legendzie, natomiast zasieką nazywano proste zapory z pni, które stawiano w zastępstwie ziemnych wałów lub murów. Po ścięciu drzew układano je wraz z konarami i gałęziami, tworząc zaporę na kształt prymitywnego płotu.

**Dach zajazdu kryty był średniej jakości gontem...** – gont, to wykonany z deseczek materiał służący do pokrywania dachów. Deseczki wykonywano najczęściej z drewna iglastego i łupano na kształt klinów, z wpustem wzdłuż szerszej krawędzi. Łączono je poprzez wsunięcie jednej

deseczki w drugą.

**Sukno trafiło do zamykanego na klucz alkierza...** – alkierz oznaczał wydzieloną bądź też specjalnie dobudowaną izbę w narożniku budynku. W karczmach alkierze wynajmowano czasami znamienitszym gościom.

**... bo cię jeszcze do stawiska utopce wciągną...** – utopce, nazywane wodnikami wywodzą się z wierzeń słowiańskich, wg których tworzyły się z dusz topielców i poronionych płodów. Zamieszkiwały różnorakie zbiorniki wodne, topiąc kąpiących się oraz przechodzące przez rzekę zwierzęta. Odpowiadały także za wylewy rzek oraz zatapianie pól i łąk. XIV wieczne kroniki mówią: *Szczególą ostrożność przy wodzie zachowaj, by utopca w porę spostrzec. Pomylić się sposobu nie ma, bo brzydki on okrutnie i do ludzi nie podobien. Gdy więc mokrego stwora obaczysz, co głowę ma wielką zielonymi włosami zdobioną i odnóży jak patyki cienkie – uciekaj człeku, by śmierci w odmętach nie ponieść. Gdy zaś ostrożnym nie dość będziesz i wodnicy dasz się złapać, ciepnij jej różańcem w oczy, a bestię precz odgonisz.*

**...pleniących się tam raubritterów...** – znani pod polską nazwą jako rycerze rozbójnicy. Byli to rycerze lub osoby z rycerskiego rodu trudniące się napadami, szczególnie na przejeżdżających w pobliżu ich zamku kupców i podróżnych. Najwięcej historycznych przypadków raubritterów znamy z terenów Bawarii, Tyrolu, Włoch, Śląska oraz Szkocji.

**...pielgrzymim szlakiem do Trzebnicy...** – w wiekach średnich Trzebnica wraz z klasztorem i sanktuarium św. Jadwigi stanowiła jeden z ważniejszych ośrodków religijnych na Śląsku. Była to siedziba pierwszego w Polsce zakonu żeńskiego (cysterek), wychowywano tam księżniczki śląskie i królowny czeskie oraz pochowano aż 22 Piastów Śląskich.

**...miała na sobie prostą, granatową cotte simple...** – cotte simple to różnego rodzaju, dopasowane do ciała suknie spodnie, noszone przez kobiety w wiekach średnich. Pod tego typu suknią przedstawicielki płci pięknej zwykły były nosić giezła (długie do ziemi koszule wykonane z płótna), a na wierzch zakładano z kolei reprezentacyjne suknie wierzchnie. W upale i podczas pracy noszono tylko cotte simple.

**Kilka groszy, półgroszy, trzeciaków, a nawet florena** – w średniowiecznym handlu funkcjonowało wiele, różnego rodzaju monet, w tym także zagranicznych. Wartość każdej monety określana była przede wszystkim ilością zawartego w niej kruszcu, najczęściej srebra. Przykładowo na przełomie XIV i XV stulecia za woła należało zapłacić ok. 30 groszy praskich, za konia ok. 300, za proste buty 4, a za łuk 8 – czyli tyle, ile za pół beczki piwa. Pełna zbroja płytowa warta była 475 groszy, miecz do 70, kura 1, a jeden łan ziemi w naszych okolicach kupowano za 192 grosze.

**Tojad** – oczywiście legenda nie mówi jakiej trucizny użyła karczmarka, ale uznaliśmy, że musi to być szybko działający, skuteczny i dostępny, środek ziołowy. Tojad spełnia wszystkie te wymagania.







## Zbójceki Kamień

Tym razem Dracon się pomylił. Wyjechał konno na wiodący do Wrocławia trakt i zatrzymał się, wraz z przybocznym, na jego środku. Patrzył na powoli zbliżający się w ich stronę orszak kilku rycerzy wraz z pocztowymi oraz na towarzyszące im kryte i wyładowane zapewne kosztownościami wozy kupieckie. To nie była zwykła, kupiecka karawana.

– Cóż teraz Smoku? – zapytał przyboczny zbója – Siła ich, nie wiem czy zdzierzymy.

Dracon, zwany też przez tutejszych Smokiem, wiedział, że jeśli podejmie walkę czeka go ciężkie starcie. Co prawda jego kompania była co najmniej dwukrotnie liczniejsza, ale na pewno o wiele słabiej uzbrojona.

– Nie mamy wyjścia – rzekł herszt – już nas widzieli. W las!

Zbójcy ostrożnie, uważając na wykroty i gałęzie wjechali w gąszcz. Niemal natychmiast doskoczyło do nich dwóch pachołków, którzy uchwycili wodze rumaków. Dracon z przybocznym zeskoczyli z siodła. Zaraz też podbiegł do nich ubrany w brązowe robe i zielonkawy kaptur mężczyzna.

– Smoku! Jest tam pięciu rycerzy, po herbach miarkuję, że śląskich i pięciu zbrojnych pachołków. Są też trzy pękate wozy – powiedział zwiadowca – Uzbrojeni przednio – pyszne zbroje, miecze i kusze. Handkanononów jeno nie mają. Co robimy?

– Gotujemy się do ataku! – zakomenderował Dracon – Wysłać pięciu ludzi do czatowni, niech baczą co by nikt w okolicach skarbcza się nie kręcił. Reszta niech zajmie miejsce w kniejach. Weźmiemy ich z zaskoczenia.





Naraz w okolicy powstał rozgardiasz. Uzbrojeni we włócznie, sulice i cepy zbójcy wartko poczęli zajmować wskazane pozycje. Tylko część z nich miała na sobie przeszywanice i kapaliny, a naprawdę nieliczni nałożyli na korpus podniszczone już znacznie płaty. Sam herszt ponownie wskoczył na rumaka i z kilkoma lepiej uzbrojonymi zbójami odjechał konno na drugą stronę traktu. Postanowił naddać nieco drogi, aby przejazd konnych przez gościniec umknął uwadze rycerskiego orszaku. A ten zbliżał się coraz bardziej. Na przedzie jechali rycerze, a herby faktycznie wskazywały śląską proveniencję ich właścicieli. Był tam Haugwitz z baranią głową w złotym polu, Kreidelwitz z jelenim porożem w polu czerwonym, Glaubitz ze srebrną rybą na tle niebieskim oraz panowie Mutschelnitz z przekrzywionym orłem w polu złotym i Kaltenhof z przepołowioną i skrzyżowaną strzałą w polu niebieskim.

Kiedy orszak zbliżył się na pięćdziesiąt kroków nieprzyjemnie zazgrzytały cięciwy, a z pobliskich kniei wystrzelono kilkanaście bełtów. Konie spłoszyły się i dziko zarżały, a jeden zbrojny padł bez tchu na ziemię z tkwiącym głęboko w piersi pociskiem. Podobnie wierzchowiec pana Glaubitz, najmłodszego chyba w całej kompanii, padł razem z właścicielem ranion w łeb i pierś. Długo nie trzeba było czekać, a zaraz za bełtami na trakt wybiegli uzbrojeni w broń drzewcową zbójcy. Dosiadający rosłego rumaka, rycerz Kaltenhoff, runął na nich jako pierwszy. Odziany w białą, mediolańską zbroję zamknął zasłonę swojego hundsugla, po czym wyjął z pochwy straszliwy, zakrzywiony tasak. Zaraz za nim w gąszcz sulic, cepów i włóczy z krzykiem wpadli panowie Mutschelnitz, Haugwitz i Kreidelwitz. Zgrzytnęły klingi, a krzyki obu atakujących stron pomieszały się z dźwiękiem obijanych zbroi, rozrąbywanych głów i rżących przeraźliwie wierzchowców.

Na to czekał Smok. Ruszający do ataku rycerze przejechali obok ukrytych po drugiej stronie leśnego gościńca, konnych rozbójników i wpadając w piechotę ustawili się do nich tyłem.



– Ataaaaak! – zawył Dracon, po czym spiął konia ostrogami i runął na tyły tnących bez opamiętania Ślązaków. Zaraz za nim ruszyli pozostali konni zbójce. Tu się jednak herszt pomylił po raz wtóry. Pan Glaubitz niezdarnie wygramolił się spod charczącego i konającego wierzchowca i wyjął z pochwy olbrzymi, półtoraręczny miecz, by kulejąc ruszyć w stronę wypadającego z lasu Smoka. Wziął potężny zamach i ciął w pęciny pędzącego rumaka. Koń dziko zarżał i natychmiast padł do przodu, a Dracon poszybował wysoko nad jego łbem. Wpadł w pieszych kamratów, kilku z nich powalił, a powietrze przeszły nieprzyjemny dźwięk łamanych kończyn. Sam herszt padł nieprzytomny.

Widząc leżącego bez ducha wodza zbójcy stracili zapał do walki, w przeciwieństwie do rycerskich pachołków, którzy ze zdwojoną mocą uderzyli w konnych banitów. Do walki dołączył także sam rycerz Glaubitz, który dokuśtykał do tłumu walczących i począł zadawać tak silne ciosy, że w pewnym momencie jego miecz pękł w pół. Nie przeszkodziło mu to jednak kontynuować walki.

Potyczka szybko dobiegła końca. Trakt, zryty końskimi kopytami, pokryły ciała martwych i rannych, krew oraz resztki strzaskanej broni. Pachołkowie ruszyli w las za uciekinierami, rycerze zsiadli z wierzchowców, a pan Haugwitz ruszył w stronę oglądającego złamaną klingę Glaubitza. Młodzieniec usiadł ciężko na zwałonym pniu, zdjął hełm i cisnął go wściekle na ziemię.

– Coście tak walili tym ostrzem panie Hans? – zapytał wesoło Otte Haugwitz – Wściekliście się?

– Jakby wam nowego perszerona ubili też byście się wściekli – odpowiedział drżącym głosem. Hans Glaubitz był młody, wysoki i szczupły, uzbrojony podobnie jak pan Kaltenhoff we włoską zbroję białą i hundsgugel. – Ten wierzchowiec wart był dwadzieścia grzywien... DWADZIEŚCIA!!!

– Nie frasujcie się panie Hans – powiedział rycerz Haugwitz – jak znajdziemy skarby tych nicponi, to kupicie sobie dwa nowe destriery.

– Mamy go! – krzyknął stojący pośród konających i już martwych rozbójników Hannus Mutschelnitz. – Żyw jeszcze! Pan Wierzbęta rad będzie, żeśmy bratka żywcem schwytali. Tak jak mówił, gładko przynętę chwycił chciwiec jeden, bo widok wozów rozum mu przyćmił!

Rycerz Mutschelnitz, we wzorzystym, nałożonym na zbroję, czerwonym gambesonie i w lśniącym, zdobionym mosiężnymi listwami kirysie uklęknął przy schwytanym rozbójniku.

Wzrok Smoka był mętny, a oddech ciężki. Zbój leżał nieruchomo z nienaturalnie wygiętą ręką i nogą. Mutschelnitz wiedział, że są pewnikiem złamane.

– No to wpadłeś bratku – rzekł powoli Ślązak, za którego plecami pojawiła się kolejno reszta zbrojnych – wpadłeś nie przymierzając jak śliwka w kompot. Oszczędzimy ci mąk, jeśli już tu i teraz powiesz nam gdzie ta twoja jaskinia? Gdzie w tych kniejach pod Smoszewem, czy tam Smoczewem, jest ten legendarny głaz pod którym złoto złupione przez te wszystkie lata trzymasz? Gdzie to miejsce, o którym chłopki powiadają, że w nocy lśni złotem jakby jakie diabelskie ognie tam igrały?



Dragon chciał chyba splunąć Ślázakowi w twarz, ale odkasznął tylko i zawył z bólu.

– O! – rzekł z udawaną troską milczący dotąd Kreidelwitz – i żeberka jeszcze połamane...

– Zabierzemy cię bratku do pana Wierzbęty – powiedział Mutschelnitz zbliżając twarz do leżącego jeńca. – Podkurujemy, a potem sprawimy, że wszystko wyśpiewasz... Jak na świętej spowiedzi...

– Mamy już swoje sprawdzone sposoby... – dodał złowieszczo Otte Haugwitz.

### **GDZIE ZNALEŹĆ KAMIEŃ?**

Wzmiankowany w podaniu kamień, pod którym ma się znajdować wejście do jaskini pełnej skarbów, to po prostu olbrzymi głaz narzutowy. Kamień ten można znaleźć w lesie smoszewskim, na południowy wschód od Krotoszyna.

### **POJĘCIA WYSTĘPUJĄCE W TEKŚCIE**

**...ubrany w brązowe robe...** – czyli kurtę, rodzaj męskiej jopuli wierzchniej w formie dość luźnego, sięgającego kolan i zapinanego z przodu kaftana.

**Handkanononów jeno nie mają** – handkanon (z j. niemieckiego działo ręczne), to potoczna nazwa prymitywnej, ręcznej broni palnej w formie osadzonej na drewnianym kiju puszczeli lub też wyposażonej w chroniący przed odrzutem hak – hakownicy.

**Był tam Haugwitz z baranią głową w złotym polu...** – wszyscy wymienieni z nazwiska rycerze i wszystkie herby są autentyczne. Swoją wiedzę oparliśmy na zapisach z „Księgi Królewskiej”, która jest listą zaciągową śląskich rycerzy biorących udział w wielkiej wojnie z Zakonem w latach 1409 – 1411.

**...z pobliskich kniei wystrzelono kilkanaście bełtów...** – bełt to po prostu pocisk kuszy.

**...zamknął zasłonę swojego hundsgugla...** – hundsgugel to przyłbica, najpopularniejszy wśród rycerstwa typ hełmu z przełomu XIV i XV stulecia, nazywany od kształtu zasłony psim pyskiem.

**...zaraz za nim w gąszcz sulic, cepów i włóczni...** – są to różne typy popularnej wśród piechoty broni drzewcowej.

**...wyjął z pochwy olbrzymi, półtoraręczny miecz...** – miecz półtoraręczny, nazywany również „wielkim”, to broń przeznaczona zarówno do walki jednoręcz (przy użyciu dużej siły), jak i oburęcz. Długość takiego miecza to około 120 cm.

**Ten wierzchowiec wart był dwadzieścia grzywien...** – w okresie późnego średniowiecza grzywna, jako jednostka płatnicza, odpowiadała wartości 48 groszy praskich. Dla porównania [HYPERLINK „http://pl.wikipedia.org/wiki/Biblia”](http://pl.wikipedia.org/wiki/Biblia) Biblia kosztowała 30 grzywien krakowskich, czyli 1440 groszy praskich.

**...to kupicie sobie dwa nowe destriery...** – czyli potężne, ciężkie rumaki bojowe, specjalnie hodowane i szkolone do walki, zdolne unieść rycerza w pełnym uzbrojeniu.

**...czerwonym gambesonie i w lśniącym, zdobionym mosiężnymi listwami kirysie...** – gambeson to rodzaj przeszywanicy zakładany na zbroję. Wykonywano go ze szlachetnych tkanin i często ozdabiano różnorodnymi wzorami, bądź motywami heraldycznymi właściciela. Kirys z kolei, to po prostu element zbroi ochraniający korpus wojownika (klatkę piersiową oraz plecy).







## Studnia kaźni

Rozległy staw leżał tuż za miasteczkiem. Ze wszystkich stron porastały go drzewa oraz gęsta trzcina, a na jego środku znajdowała się sporych rozmiarów wyspa. Na wyspie zaś pobudowano w całości drewniany, otoczony palisadą i należący do krotoszyńskiego pana kasztel. Do dworzyszczka prowadziła tylko jedna droga, wiodąca przez dość szeroką i dobrze utrzymaną groblę. Za solidną palisadą znajdowały się zabudowania gospodarcze, stajnia, spichlerz, browar, młyn i oczywiście rycerski stołp. Centralne miejsce zajmował jednak nieduży dziedziniec, w tej chwili zatłoczony przez przyglądającą się zdarzeniu służbę. Na dziedzińcu odbywał się sąd.

– Draconie, zwany Smokiem – rzekł twardo stojący na schodach donżonu mężczyzna – za napadanie kupców, łupienie wsi, liczne mordy na okolicznych mieszkańcach i podróżynych zapłacisz głową!

Mężczyzna ów ubrany był w houppelande z przedniego, ciemnoniebieskiego aksamitu, głowę przyozdabiał mu jedwabny, czarny chaperon, a całość uzupełniał pyszny, złożony pas rycerski oraz pugiń. Obok rycerza stało dwóch zbrojnych w pikowanych kaftanach i kapalinach, z halabardami w dłoniach. Nieco z tyłu przystanął mały, kilkuletni chłopczyk ubrany w czerwone robe. Przestępował niecierpliwie z nogi na nogę, trzymając oburącz jeździecką tarczę z herbem rycerza – złotą łódź w czerwonym polu.

– Nie ma litości dla takich jak ty – kontynuował mężczyzna – za cały ten zbójcecki proceder jest tylko jedna kara. My, pan na Krotoszynie, skazujemy cię na śmierć!

Skazaniec pobladł. Ubrany był w poplamioną, sięgającą kolan koszulinę i byłby pewnie osunął się na brukowane podłoże, gdyby nie przytrzymały go w żelaznym uchwycie ręce dwóch kolejnych zbrojnych. Zgromadzona na dziedzińcu służba zaszemrała, znając czekający skazanego los.





I Dracon doskonale wiedział co oznacza śmierć na z wyroku krotoszyńskiego pana. Wiedział że tu, we dworze, nie ma dla niego ratunku. Znał z opowiadań owo miejsce, gdzie krzewy i drzewa były zawsze karłowate i uschnięte, jakby nasączona ludzkim cierpieniem ziemia przeszkadzała im w prawidłowym rozwoju.

Zbrojni szarpnęli skazanego, a służba rozstąpiła się w milczącym szpalerze. Wydawało się, że nawet ptaki zamilkły. Powlekli go tym posępnym korowodem, w kierunku złowieszczej studni.

– Neeeeee! – począł wrzeszczeć mężczyzna nazwany Smokiem – Pomilujcie panie! Litoooości!

Oberwał nagle czymś twardym w tył głowy i na moment stracił świadomość. Powleczo-no go na wpół przytomnego w kierunku studni, z której dwóch pacholków dopiero co usunęło drewniane wieko. Skazaniec mętным wzrokiem zerknął w głąb przepastnego otworu i pewnie nic by nie zauważył, gdyby promień słońca nie odbił się refleksem na ostrzach oraz pokrytych rdzą i krwią kolcach, zdających się wypełniać całe wnętrze złowieszczej jamy.

Poczuł jak grunt ucieka mu spod nóg...

Wieko nałożono na studnię, jeszcze chwilę słuchając odgłosów uciekającego w niej życia. A wieczorem... Wieczorem nikt do studni już się nie zbliżał. Nikt nie chciał słyszeć jęków tych, którzy zakończyli w niej swój żywot. Nikt nie chciał przechadzać się pomiędzy skarłowaciałymi krzewami i drzewami, nasączonymi niejako ludzkim cierpieniem....



## KROTOSZYŃSKI ZAMEK

Wbrew krążącym wśród mieszkańców opiniom, w Krotoszynie nie było zamku. Właściciel miasta mieszkał w drewnianym kasztelu położonym w miejscu dzisiejszego Pałacu Gałęckich. Jako, że miasto otaczały rozległe bory i lasy, łatwo dostępne drewno było najlepszym i najbardziej dostępnym surowcem do budowy rycerskiej siedziby.

Kasztel mógł wyglądać tak, jak opisano w powyższej wersji legendy. Położony był na wyspie i mógł się składać z kilku zabudowań. Tereny dzisiejszego Parku Wojska Polskiego stanowiły dość okazałych rozmiarów staw. Świadczą o tym obniżenia terenu, które można zaobserwować gołym okiem oraz dwa stawy funkcjonujące po dzień dzisiejszy.

Do kasztelu można było się dostać groblą, której pozostałością może być dróżka wiodąca do pałacyku od ulicy Piastowskiej. Ponieważ miasteczko obejmowało tereny dzisiejszego rynku i kilka najbliższych uliczek, można sądzić, że kasztel Wierzbiety usytuowany był inaczej niż dzisiejszy Pałac Gałęckich. Możliwe, iż skierowany był frontem w stronę ulicy Piastowskiej, a nie Sienkiewicza.

Jeśli chodzi o studnię kaźni, to znajduje się ona niedaleko pałacyku, lecz przykryta jest dziś betonową płytą. Sama studnia była prawdopodobnie zwyczajna i nie służyła bynajmniej do wrzucania do niej skazańców, ludzka wyobraźnia nie zna jednak granic.

## POJĘCIA WYSTĘPUJĄCE W TEKŚCIE

**...ubrany był w houppelande z przedniego, ciemnoniebieskiego aksamitu...** – czyli w strój dworski modny od końca XV w., występujący w wersji męskiej i damskiej. Houppelande w wersji męskiej charakteryzowało się szerokimi, lejkowatymi rękawami i wysokim kołnierzem, sięgało poniżej kolan i spinane było nisko na biodrach ozdobnym pasem. Szyto je z sukna lub aksamitu, często podbijano też futrem.

**...głowę przyozdabiał mu jedwabny, czarny chaperon...** – głównie męskie nakrycie głowy znane w Europie od XIV w., bardzo popularne na początku XV stulecia. Chaperon składał się z sukienego lub aksamitnego, wypchanego skrawkami materiału wątku, długiego „ogona” i związającego, czasem ozdobnie wycinanego, fałdu materiału. Wyglądem chaperony przypominały nieco turban.

**...całość uzupełniał pyszny, złożony pas rycerski oraz pugiinał...** – pugiinały to po prostu mizerykordie, czyli sztylety w różnym typie noszone przy pasie przez rycerstwo, służące do walki w zwarcu i „zadawania miłosierdzia” śmiertelnie rannym.

**Obok rycerza stało dwóch zbrojnych w pikowanych kaftanach i kapalinach...** – kapalin to popularny wśród piechoty i uboższych rycerzy hełm otwarty. Mimo, że funkcjonowało wiele typów kapalinów, to wszystkie kształtem przypominały kapelusz. Ten typ hełmu pojawił się co prawda już w starożytności, ale największą popularność osiągnął między XIII a XV stuleciem.







## Legenda o studni św. Marcina

Początek listopada był deszczowy. Padające od dobrych kilku tygodni deszcze całkowicie rozmoczyły trakty i sprawiły, że coraz rzadziej do miasteczka witały kupieckie karawany. Również miejscowa ludność nie wyruszała w dalsze wędrówki, co zdecydowanie ułatwiało ściąganie daniny i zarządzanego przez radę miejską podatku. Dni stawały się coraz krótsze, a świat powoli zaczynał zapadać w głęboki, zimowy sen.

Bartosz przeprowadził się do Krotoszyń niedawno. Porzucił kaliskie kamienice, dla ciasnej, dwuizbowej chaty. Irytowały go małomiasteczkowe zachowania: wszechobecne plotki, to że wszyscy wszystkich znali i że nadal nie był akceptowany przez miejscowych mimo, iż mieszkał tu od Wielkiej Nocy. Opuścił jednak swoje rodzinne miasto, bo stokroć bardziej doskwierały mu ciągle wyjazdy i wojaczka, chciał zaznać wreszcie spokoju właśnie tu, na odludziu.

Jechał błotnistym gościńcem w stronę Sulmierzyc. Mimo, że nadchodził zmrok nie śpieszył się, a rześkie, wieczorne powietrze rekompensowało mu panujący w chałupie zaduch. Narzucił na głowę czarny kaptur i naciągnął na siebie przemoczony już nieco płaszcz. Trakt wiodł przez las. Był wąski i ledwie widoczny, ponieważ całą okolicę pokryła gęsta warstwa przesiąkniętych wilgocią, różnokolorowych liści, wśród których barwą dominującą był zgniłozielony. Po obu stronach drogi przeżyły się monumentalne drzewa, tworzące nad traktem rodzaj wyłysiałego już nieco baldachimu. Przy obecnej pogodzie ciężko było ustalić, czy nadal pada deszcz, czy to tylko opada woda osiadła w koronach drzew.

Wyteżając wzrok, spomiędzy siąpiącej mżawki, Bartosz dostrzegł dwójkę, wychodzących z lasu ludzi. Po kilku chwilach zorientował się, że postacie zmierzają w jego kierunku. Popędził nieco swojego siwka by sprawdzić, kto przy takiej pogodzie przemierza ten odludny trakt. Dwaj mężczyźni w ubłoconych płaszczach, z ponaciąganyymi głęboko na twarze kapturami szli wolnym krokiem przed siebie. Wyższy podtrzymywał opierającego się na sękatej lasce starca, spod opończy którego wystawała siwa, przerzedzona nieco broda.

– Niech będzie pochwalony! – zakrzyknął radośnie Bartosz – a dokąd to zmierzacie w taki deszcz?

– Na wieki wieków... - odburknął nie zatrzymawszy się młodszy z wędrowców – zmierzamy do domu...

Bartosz wstrzymał konia i uważnie przyjrzał się obu mijającym go mężczyznom. Ani na chwilę nie przystanęli, jedynie starszy podniósł w jego kierunku głowę. Dało się zauważyć że na oczach ma jakąś ciemną przepaskę. Ślepiec, pomyślał Bartosz i ruszył przed siebie, jeszcze kilkakrotnie się oglądając. Wędrowcy nie obejrzel się ani razu.

Po paru chwilach, jadąc dalej grząskim traktem, Bartosz dostrzegł miejsce, z którego wyszli mężczyźni. Oto po jego prawej pojawiła się, wiodąca w głąb lasu ścieżka. Wstrzymał konia i spojrzał z ciekawością. Po chwili namysłu ściągnął cugle i wolno, ostrożnie wjechał w dziwną przesiekę. Teren okazał się jeszcze bardziej grząski niż trakt. Bartosz uważnie się rozglądał i oto,

ku jego zdumieniu, odkrył coś, czego w środku lasu nigdy by się nie spodziewał. Pomiedzy otaczającymi drózkę drzewami piętrzyły się spróchniałe fragmenty ścian, porośnięte mchem resztki dachów oraz częściowo przykryte przez ściółkę i opadłe liście fragmenty gontów. Ruszył przed siebie, cały czas obserwując pozostałości tej, zdaje się upadłej przed wielu laty osady.

– Zapadła się pod ziemię, czy co?  
– zapytał sam siebie półgłosem. Bacznie obserwował szczątki zrujnowanych domostw i ich otoczenie, szukał śladów pożaru, najazdu lub jakiejś epidemii. Nie znalazł nic. Przejechał obok sporej kupy zbutwiałych belek, pośród których zauważył porośnięty mchem, ledwie widoczny krzyż.



– Zrujnowany kościółek.... – powiedział sam sobie – Co tu się stało?

W oddali, pomiędzy drzewami zauważył jakiś nienaturalny kształt. Ruszył szybko w jego kierunku. Była to kapliczka z wyrzeźbioną w drewnie figurą jakiegoś zbrojnego świętego na koniu. Wyglądało na to, że została wybudowana stosunkowo niedawno, a obok niej stała ocembrowana, drewniana studnia z żurawiem. Ku jego zdziwieniu okazało się, że chyba nadal używana.

Bartosz zeskoczył z konia i przywiązał go do najbliższego drzewa, po czym, uważnie rozglądając się, ruszył w stronę studni. Kątem oka spostrzegł położoną nieopodal, na niewielkim wzniesieniu, chatkę. Z tej perspektywy wyglądała na zamieszkaną, z jej wnętrza bił blady poblask świateł.

Podszedł do studni i zerknął do środka. Wydawało mu się, że słyszy dobiegające z jej wnętrza dźwięki dzwoneczków, próbował więc wsłuchać się uważniej.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – Rzekł niespodziewanie głos zza jego pleców. Przestraszony Bartosz obrócił się tak gwałtownie, że o mało był by się przewrócił. Przytrzymało go jednak silne ramię ubranego w ciemny, znoszony habit, brodatego mężczyzny.

– Co to za miejsce? – zapytał jeździec, nieudolnie próbując zamaskować drżenie głosu.

– Las Świętomarciński, tegoż świętego kaplica, studnia z cudowną wodą i moja pustelnia  
– odpowiedział mężczyzna pokazując zamaszystym ruchem w stronę chatki – Wejdźcie do środka panie, mamy dziś wigilię świętego Marcina, więc zapraszam na wieczerzę.



## DZIEJE STUDNI

„Las Świątomarciński”, gdzie możemy znaleźć legendarną studnię, położony jest pomiędzy Krotoszynem, Sulmierzycami i Zdunami. Co prawda dziś w studni nie ma już wody, a cembrowina to po prostu betonowy pierścień, jednakże źródła historyczne wspominają, że jeszcze w 1834 roku stał tam drewniany kościółek wraz z pustelnią, a raz w roku odbywał się w nim odpust św. Marcina.

Legenda o studni św. Marcina wspomina, że w miejscu dzisiejszej studni znajdowała się dawniej wieś z kościołem. Wskutek jakiejś nieznanej klątwy wieś miała się nagle zapaść pod ziemię, a w jej miejscu miało trysnąć cudowne źródło, które ponoć leczyło oczy. Źródło ocembrowano, postawiono kaplicę, a obok zamieszkał pustelnik. Ludzie zaczęli przychodzić w cudowne miejsce zaczerpnąć wody i pomodlić się. Ponoć w dzień św. Marcina ze studni dochodzą dźwięki dzwoneczków.

## POJĘCIA WYSTĘPUJĄCE W TEKŚCIE

**Św. Marcin z Tours** – urodził się ok. 317 r. w Panonii na Węgrzech, był rzymskim legionistą, który w czasie wyprawy do Galii oddał biedakowi w Amiens połowę swojego płaszcza. Podczas snu ujrzał ubranego w ten płaszcz Chrystusa, który oświadczył mu, że to jego Marcin okrył. Po przyjęciu chrztu przyszedł święty porzucił legiony i rozpoczął życie pustelnika. Założył najstarszy klasztor w Galii, a następnie, wbrew swojej woli, został wybrany biskupem Tours. Prowadził życie zakonne, nawracał chłopów, zwalczał herezje jednocześnie broniąc heretyków przed surowymi karami. Zmarł w 397 r. w Candes. Kult św. Marcina początkowo szerzył się we Francji (jest jej patronem), natomiast w Europie pojawił się w VI w.

**...do miasteczka witały kupieckie karawany...** – w średniowiecznym Krotoszynie funkcjonowały trzy warsztaty rzemieślnicze: piekarski, szewski i rzeźniczy. Inny asortyment mieszkańcy produkowali samodzielnie, lub nabywali u przejeżdżających przez miasteczko kupców. Targi odbywały się we wtorki a towary sprzedawano na rynku bezpośrednio z kupieckich wozów. Obok dni targowych kupcy mogli także handlować podczas jarmarku. Po wielkim pożarze w 1453 roku, król Kazimierz Jagiellończyk zezwolił na organizowanie aż trzech jarmarków i dodał jako dzień targowy także piątek. W Krotoszynie po dziś dzień targi odbywają się we wtorki i piątki.

**...ułatwiało ściąganie daniny oraz zarządzanego przez radę miejską podatku...** – lokując miasto Wierzbietą zwolnił wszystkich jego mieszkańców z powinności i podatków na okres sześciu lat, natomiast ofiary pożarów na lat osiem. Po tym okresie każdy mieszkaniec Krotoszyna musiał płacić daninę na rzecz pana oraz zarządzony przez radę miasteczka podatek miejski. Wszelkie te należności zbierane były jednego dnia, właśnie w dzień św. Marcina, czyli 11 listopada.

**...spod którego opończy...** – opończą nazywano obszerny, podróżny płaszcz z kapturem. W tym wypadku chodzi jednak o sam nakładany na głowę kaptur z sięgającą ramion kryzą.







## Kamienny pies

Izba nie była obszerna. Ściany wyłożono skórami wilków, dzików i jeleni, a ogień w kominku trząsał wesoło. Łowczy – szpakowaty, brodaty mężczyzna w brązowej tunice, spochmurniał i ciężko opadł na skrzyni pod oknem. Wbił wzrok w siedzącego przy stole chłopaka. Desprin nie patrzył na niego, siedział ze spuszczoną głową, miętoląc w rękach wysłużone już i w wielu miejscach połatane cottehardie.

– Chcesz więc Sawanę za żonę chłopcze... – podjął powoli Marcin z Oraczewic.

– Tak panie Marcinie – przytaknął drżącym głosem młodzieniec, nadal nie odrywając wzroku od podłogi – Po to tutaj przyszedłem. Proszę was o rękę córki. Kocham ją, a ona kocha mnie...

– Lubię cię – wszedł mu w słowo łowczy – jesteś pracowity, niegłupi, uczciwy. Niestety w dzisiejszym świecie nie zapewni to dziewczynie przyszłości.

– Kochamy się... – próbował zaprotestować Desprin.

– Wiem! – powiedział stanowczo Marcin, a chłopak poczerwieniał i zamilkł – Niestety to wam jedzenia nie da. Biednyś jak, nie przymierzając, mysz kościelna, nie mogę pozwolić by moja córka przez „zakochanie” zmarnowała sobie życie.

– Damy sobie radę, potrafię o siebie zadbać – nie rezygnował.

– I to wiem! – po raz kolejny przerwał Marcin i po raz kolejny uszy chłopaka zapłonęły krwistą czerwienią – Ale czy potrafisz zadbać i o Sawanę i siebie? O rodzinę?

Desprin po raz pierwszy nieśmiało spojrzał na Marcina. Chciał coś powiedzieć, lecz ten uciszył go stanowczym gestem.

– Przykro mi – powiedział ciepłym, niemal ojcowskim tonem – już postanowiłem...



Łzy napłynęły młodzianowi do oczu. Chciał coś powiedzieć, wykrzyczeć w twarz łowczemu, ale język uwiązł mu w gardle. Wstał i wywracając ławę na której siedział zatoczył się w stronę drzwi, wpadając na żonę Marcina niosącą właśnie miskę czarnej, gęstej polewki. Wytrącił z rąk gospodyni naczynie, które z brzękiem rozbiło się o drewnianą podłogę, po czym wybiegł na zewnątrz. Żona łowczego spojrzała żałośnie na męża. Chciała coś powiedzieć, lecz ten tylko pokiwał przecząco głową.

Zrozpaczony pobiegł w las. Gnał ile sił w nogach, potykając się o leżące pośród drzew gałęzie i wystające korzenie. Wpadł do sporego wykrotu rozcinając sobie głowę o znajdujące się wewnątrz kamienie. Nie zwrócił jednak na to uwagi, wstał i pobiegł dalej,

w stronę ogromnej lipy, gdzie spotkali się po raz pierwszy i gdzie spotykali się od tej pory zawsze.

Młoda, piękna dziewczyna w niebieskawej sukni stała oparta o drzewo. W ręku trzymała świeżo upieczony wianek z zebranych wcześniej stokrotek, a tuż u jej stóp leżał nieduży, czarny kundel z charakterystyczną, białą łapą. Na widok młodzieńca dziewczyna uśmiechnęła się, lecz szybko radość zniknęła z jej twarzy.

– Co ci się stało? – zapytała patrząc na zakrwawioną głowę chłopaka.

– Nie zgodzili się... – zaczął łapiąc oddech Desprin. Sawanna pobladła. – Jestem za biedny dla ciebie a to, że się kochamy nic nie znaczy... – powiedział wciąż ciężko dysząc.

– Ale jak to? – szepnęła panna, a jej głos zaczął się łamać.

– Musimy uciekać! – podjął chłopak chwytając ją za rękę – Chodź ze mną. Ruszymy na Śląsk, poradzimy sobie.

– Ale... Ja... Ja tak nie mogę... Nie chcę uciekać... Może zmienię zdanie... – zaczęła łkać – Ja... Ja nie chcę uciekać...

– Nie zmienię zdania! – Krzyknął Desprin – Nie rozumiesz? Znam twojego ojca i ty też go znasz! Jest uparty jak osioł i nigdy się nie zgodzi!

– Nigdy nie krzychałeś... – podjęła cicho dziewczyna, spoglądając z niedowierzaniem na ukochanego.

– Bo nigdy nie chodziło o nas! – nie przestawał wrzeszczeć Desprin, a każde jego słowo było coraz głośniejsze – Nie rozumiesz, że chcą cię wydać jakiemuś bogatemu fircykowi? Byle się twoim kosztem dorobić! Handlują tobą jak, nie przymierzając, krową na targu!

– Nie chcę żebyś krzychał... – odrzekła nadal łkając dziewczyna – nie znałam cię takiego...

– Też nie chcę! Ale inaczej nie potrafię! – darł się poczerwieniały od złości i napływającej krwi młodzian.

– Jeśli nie przestaniesz pójść sobie... – odpowiedziała rzucając na ziemię wianek i spoglądając chłopakowi głęboko w oczy.

– Jak to pójdziesz? A my? – nie przestawał Desprin.

– Nie chcę uciekać. Porozmawiam z rodzicami i na pewno ich przekonam. – oznajmiła drżącym głosem dziewczyna, po czym odwróciwszy się wolnym krokiem ruszyła w stronę domu łowczego.

– Umówiłaś się z nimi tak? – niespodziewanie wypalił Desprin – To wszystko między





nami to była gra? Wystawienie mnie na pośmiewisko?

– O czym ty mówisz? - Sawana odwróciła się z niedowierzaniem – Co cię opętało? Ja po prostu nie chcę uciekać przed moimi rodzicami i jestem pewna, że ich przekonam.

Popatrzyła na chłopaka pełnym niepokoju wzrokiem, po czym ponownie ruszyła w stronę domu. Desprin chciał nadal krzyczeć, ale zabrakło już mu sił. Zgiął się w pół i podparł na kolanach łapiąc oddech. Kipiący wściekłością, zrozpaczony zauważył na ziemi grubą gałąź. Podniósł ją, po czym biegiem ruszył w stronę dziewczyny. Sawana obejrzała się w ostatniej chwili, a z jej ust zdążył się tylko wydobyć krótki, urwany krzyk. Gruby kawał drewna opadł jej na głowę. Upadła natychmiast na pokrytą mchem leśną ściółkę.

Desprin oprzytomniał. Spojrzał, niedowierzając w to co zrobił, na leżącą bezwładnie dziewczynę. Spojrzał w jej piękne, brązowe oczy. Zauważył wilgotniejącą pod jej głową i przybierającą brunatny kolor ściółkę. Opadł bezwładnie na kolana i zaczął krzyczeć. Krzyczał długo, bardzo długo, aż gardło odmówiło mu posłuszeństwa. Obok pani położył się pies, cienko i smutno piszcząc.

Chłopak rękami zaczął wygrzebywać ziemię w korzeniach lipy. Nie chciał aby ciało ukochanej stało się pożywieniem dla dzikich zwierząt. Wiedział, że taki akurat los należy się tylko jemu. Złożył ciało dziewczyny w dole, po czym zasypał je. Długo łkał nad prowizorycznym grobem. Wstając powiódł błędnym wzrokiem po okolicy, zdjął pas, po czym przewiesił go przez gałąź pobliskiego drzewa. Stał na solidnym, zwalonym pniaku, zawiązał pętlę i założył ją sobie na szyję...

Pies położył się tuż obok leśnego nagrobka, nie chcąc opuścić swojej pani nawet po śmierci. Leżał tak długo... Bardzo długo... Aż z tęsknoty zmienił się w kamień...

### **GDZIE ZNALEŹĆ LIPĘ?**

Miejsce, o którym mówi legenda, znajduje się na południe od Krotoszyna, jakieś pół kilometra od drogi wiodącej z leśniczówki miejskiej do Sulmierzyc. Przy leśnym dukcie można tam znaleźć sporych rozmiarów lipę rosnącą pomiędzy świerkami, w której korzeniach leżą duże kamienie, w tym jeden przypominający kształtem psią głowę. To według legendy miałyby być ów skamieniały, wierny pies zamordowanej dziewczyny.

### **POJĘCIA WYSTĘPUJĄCE W TEKŚCIE**

Desprin i Sawana – oba te imiona mogą wydawać się dziwne, jednakże występowały w naszej części Wielkopolski, co potwierdzają dokumenty z przełomu XIV i XV stulecia.

**...wysłużone już i w wielu miejscach połatane cottehardie...** – typ stroju wierzchniego (jopuli wierzchniej) dopasowany do sylwetki i zapinany z przodu oraz na ramionach na szereg guziczków. Cottehardie występowało również w formie dopasowanej w talii, kobiecej sukni.

**...niosącą właśnie miskę czarnej, gęstej polewki...** – czarna polewka, czarna zalewajka, czermina lub czarnina. Wszystkie te nazwy oznaczają w polskiej kulturze jedno – odmowę przyjęcia oświadczyń. Jest to polska zupa gotowana z krwi kaczej, gęsiej, kurzej, króliczej, lub rzadziej świńskiej. Słodko – kwaśny smak zupy osiągany jest przez dodawanie cukru i octu, by nie dopuścić do krzepnięcia krwi. Czasami dodaje się także syrop ze śliwek lub gruszek, suszone owoce (gruszki, śliwki, rodzyunki lub wiśnie), miód lub inne składniki. Zupę podawano z kluskami, później z makaronem i ziemniakami.







## O niegrzecznym dziecku

Ziemia na nagrobku osunęła się. Z wnętrza mogiły, zaczęła wygrzebywać się na powierzchnię nienaturalnie zdeformowana, dziecięca rączka. Małgorzata upuściła naręcze przyniesionych kwiatów. Cofnęła się o parę kroków i byłaby się wywróciła, gdyby nie stojąca opodał, pokrzywiona wierzba. Wsparła się na niej i wbiła otępiały wzrok w nagrobek. Pobladła. Głos uwiązł jej w gardle, a twarz zastygła w niemym krzyku. Czując przerażenie i bezradność poczęła spazmatycznie szlochać.

Po dłuższej chwili kobieta z trudem opanowała przerażenie. Zrobiła dwa, niezdarne kroki w stronę mogiły, po czym upadła na kolana.

– Requiem aeternam dona ei... – zaczęła rozedrganym głosem, po czym przeżegnała się kilkakrotnie. Nie wiedziała co czynić. Szepcząc Ave Maria, odruchowo brała w garście grudy świeżo rozkopanej ziemi i poczęła zasypywać wystającą rączkę.

Ze zgrozy, niemal machinalnie wstała i zataczając się ze strachu ruszyła w stronę domu. Opuściła niewielki cmentarzyk, gdzie wśród wysokich drzew rozrzuconych było kilkadziesiąt kopczyków przyozdobionych drewnianymi krzyżami. Przeszła obok probostwa oraz drewnianego kościółka Piotra i Pawła. Weszła w końcu na obszerny, prostokątny rynek. Szła sama. Błada, milcząca, przerażona i załamana, nie zwracała uwagi ani na pozdrowienia sąsiadów, ani na pełne współczucia spojrzenia miejscowych kobiet.

Tego dnia Małgorzata nie tknęła wieczerzy. Nie mogła też zasnąć. Wizja zmarłego przed kilkoma dniami, ukochanego synka mieszała jej się ze zgrozą zdeformowanej ręki wystającej z mogiły. Skoro świt, dziwiąc się samej sobie, postanowiła wrócić na cmentarz.

Przez rynek niemal przebiegła, zwalniając dopiero przy cmentarnej furcie. Tutaj nogi zaczęły jej się trząść do tego stopnia, że aby zachować równowagę, musiała podpierać się o drzewa i nagrobne krucyfiksy.

Dopiero teraz zauważyła porozrzucone u stóp grobu, przyniesione wczoraj kwiaty. Chcąc je położyć na mogile, schyliła się i zamarła. Krzyknęła przenikliwie, wzdrygnęła się przysiadając ze strachu na ziemi. Jej wzrok spoczął na przeraźliwie powykęcanej, dziecięcej ręce wystającej spod nagrobka.

Wargi zaczęły jej się trząść, a do oczu napłynęły łzy. Poczęła rozglądać się dookoła, chciała prosić, błagać o pomoc. Wokoło nie





było jednak nikogo. Jej wzrok spoczął ostatecznie na drewnianym, krytym gontem kościółku.

– Ksiądz... – pomyślała z nadzieją i dygocząc z przerażenia, potykając się co rusz o wystające korzenie drzew ruszyła w stronę probostwa.

Ksiądz Jakub w towarzystwie dwóch ministrantów szykował właśnie poranną mszę, kiedy do zakrystii wpadła przeraźliwie blada, niewysoka, bardzo szczupła kobieta w sile wieku, odziana w ciemnogrnatowe cottheardie. Małgorzata. Kapłan znał ją, wiedział, że pięć wiosen temu zmarł jej mąż, a przed paroma dniami ośmioletni syn.

Kobieta najwyraźniej chciała coś powiedzieć, ale język uwiązł jej w gardle i nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa. Nogi się pod nią ugięły i całym ciężarem padła na drewnianą podłogę.

– Cóż się stało Małgorzato? Cóż to cię tak wystraszyło? – zapytał kapłan podnosząc i przytrzymując roztrzęsioną mieszczkę – Wyglądasz, jakbyś zaraz miała wyzionąć ducha.

– Księżę proboszczu... – rzekła niemal bezgłośnie – zmiłowania Bożego... Pójdźcie ze mną księżę proboszczu... Musicie coś zobaczyć...

– Pomódl się córko. Cokolwiek się stało Bóg ci pomoże. Zostań i pomódl się – odparł ksiądz przekazując kobietę w ręce ministrantów – Zaraz po mszy wyjaśnisz mi co się stało.

Ministranci wyprowadził ledwie żywą mieszczkę z zakrystii do prezbiterium i dalej do ław usytuowanych w nawie głównej. Po obecnych w kościele wiernych rozszedł się pomruk. Świątynia była niewielka. Centralne miejsce w prezbiterium zajmowała umieszczona nad tabernakulum płaskorzeźba „Wielkiej Rodziny Matki Boskiej”, obok której umieszczone były figury świętych Piotra i Pawła. Po prawej stronie nawy głównej wisiał obraz Matki Boskiej Krotoszyńskiej, natomiast po stronie przeciwnej sporych rozmiarów, rzeźbiony krzyż.

Małgorzata żarliwie modliła się zarówno w czasie mszy świętej, jak i długo po niej.



Ze stanu rozmodlenia wyrwał ją dopiero ksiądz Jakub.

– Powiedz teraz spokojnie córko, co się stało? – zapytał ciepłym tonem kapłan – Cóż cię przestraszyło?

– Mój syn księże... – odpowiedziała jednym tchem mieszcza – mój syn, który po śmierci spokoju zaznać nie może...

– A to skąd wiesz? – zapytał z niedowierzaniem proboszcz – po czym poznałaś?

– Pójdźcie ze mną na cmentarz księże – powiedziała cicho Małgorzata – sami zobaczcie.

Kapłan pomógł mieszcze wstać i powolnym krokiem, mocno przytrzymując, odprowadził ją na cmentarz. Nad grób zmarłego syna.

– Patrzcie... – rzekła rozedrganym głosem i zaczęła się ponownie ślaniać – Bóg srogo mnie pokarał i nadal karze... Wczoraj to zobaczyłam i zasypałam... Ale dziś znów...

Proboszcz na widok pokrzywionej, drobnej rączki zbladł i przeżegnał się odruchowo.

– Sancte Michael Archangele, defende nos in proelio – zaczął nerwowo, a głos mu zadrzał – contra nequitiam et insidias diaboli esto praesidium...

– Co myślicie księże? – zapytała Małgorzata, nie odrywając przerażonego wzroku od nagrobka – Co czynić?

Kapłan zamyślił się. Długo wpatrywał się w wystającą z mogiły rękę nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Jednocześnie przytrzymywał ramieniem ślaniającą się, śmiertelnie wystraszoną mieszczkę.

– Kochałaś Małgorzato synka nad życie – zaczął po dłuższej chwili – Za siebie i za zmarłego męża. To co powiem i co każe zrobić, może cię zboleć. Mocno zboleć.

– Mówcie księże dobrodzieju – powiedziała niepewnie mieszcza – zrobię wszystko, byle mój synek zaznał ukojenia.

– Jako rzekłem kochałaś Małgorzato swego synka za dwóch – powoli kontynuował ksiądz Jakub – Do tego stopnia, że pobłażałaś mu we wszystkim. Nie karmiłaś go nigdy i pozwalałaś na wszystko. Dlatego, aby mógł zasnąć w Panu, takowej kary potrzebuje.

– To małe dziecko... – wtrąciła z niepokojem mieszcza – Jakże to tak? Co macie na myśli? Co miałabym zrobić?

– Dajcie powiedzieć – nie dał się wybić z pantałyku kapłan – Powinnaś według mnie po trzykroć uderzyć różgą w rękę i potem dopiero ją zasypać.

– Ale jakże to tak? – zaczęła łkać Małgorzata – Ja za życia go nie uderzyłam, a mam teraz, po śmierci??? Tak różgą???

– Za życia poskapiłaś mu różgi, dlatego musisz teraz! – rzekł twardo ksiądz rozglądając się dookoła. Podszedł w końcu do starej, pokrzywionej wierzby i zerwał jedną z witek. Zgrabnym ruchem usunął z niej liście, po czym podał kobiecie – Czyń co mówię, aby dać dziecku wieczny odpoczynek!

Kobieta więcej się nie odezwała. Łkając uklękła przy grobie, a łzy zdawały się żłobić bruzdy w jej twarzy. Tkwiła tak długo. Kapłan stanął za jej plecami i zaczął odmawiać Requiem aeternam dona eis. Nie poganiał jej, wiedział ile bólu kosztuje matkę to, co miała zaraz uczynić.

Małgorzata podniosła wreszcie wierzbową witkę i wciąż roniąc łzy uderzyła trzy razy w wystającą z ziemi rączkę. Ręka poruszyła się. Małgorzata krzyknęła i odskoczyła do tyłu wpadając na modlącego się kapłana. Powoli, stopniowo nienaturalny skurcz deformujący dłoń zaczął ustępować, a rączka opadła bezwładnie na mogiłę.

– A teraz ją zasyp... – powiedział ksiądz, kładąc mieszczce ręce na ramionach.

Małgorzata wstała i odmawiając wraz z proboszczem modlitwę za zmarłych zagrzebała w nagrobku leżącą bezwładnie rączkę i poukładała na nim porozrzucane kwiaty.

Od tego czasu chłopczyk spoczął w pokoju, a lux perpetua luceat eis.

#### **CMENTARZ I KOŚCÓŁEK**

Pierwotnie niniejsza legenda dotyczyła starego cmentarza leżącego między Grzegorzewem, a Sulmierzycami, postanowiliśmy jednak przenieść ją na teren cmentarza, który funkcjonował w Krotoszynie.

Do 1419 roku mieszkańcy Krotoszyna (lokowanego w roku 1415) musieli uczęszczać do kościoła św. Marii Magdaleny na Starym Krotoszynie. Stary Krotoszyn był wówczas wsią, której ziemie częściowo weszły w skład nowopowstałego miasta. W 1419 roku Wierzbęta z Krotoszyna ufundował kościółek św. Apostołów Piotra i Pawła wraz ze szkołą parafialną. Proboszczem parafii został wzmiankowany w źródłach historycznych i przeniesiony przez nas do legendy ksiądz Jakub. Pierwszy w mieście, drewniany kościółek stał w miejscu swojego dzisiejszego, barokowego odpowiednika, a tuż obok (na terenie dzisiejszego muzeum i części Małego Rynku) znajdował się pierwotny, krotoszyński cmentarz.

#### **POJĘCIA WYSTĘPUJĄCE W TEKŚCIE**

**Requiem aeternam dona ei, Domine, et lux perpetua luceat ei** – (łac.) *Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci.*

**Ave Maria...** – (łac.) *Zdrowaś Mario...*

**Świątynia była niewielka. Centralne miejsce w prezbiterium...** – opisany przez nas wygląd kościółka jest oczywiście przypuszczalny. Była to zapewne niewielka, jednonawowa świątynia z prezbiterium i zakrystią. Wspomniana przez nas płaskorzeźba „Wielkiej Rodziny Matki Boskiej” jest z kolei autentycznym zabytkiem z pierwotnego, drewnianego kościółka, jednak jest datowana dopiero na koniec XV stulecia. Płaskorzeźbę można podziwiać w poznańskim Muzeum Archidiecezjalnym. Obraz Matki Boskiej Krotoszyńskiej znajduje się po dziś dzień w kościele św. Piotra i Pawła, jednak datowany jest na początek XVI stulecia.

**...Sancte Michael Archangele, defende nos in proelio...** – tzw. egzorcyzm prywatny, (łac.) *Święty Michale Archaniele! Broń nas w walce, a przeciw niegodziwości i zasadzkom złego ducha bądź naszą obronę.*







## Podanie o nazwie wsi Roszki

Zima Roku Pańskiego 1420 była sroga. Ośnieżone dachy krotoszyńskich domostw zdawały się ledwie wytrzymywać ciężar pokrywającego je, białego puchu. Stawiska otaczające miasteczko skute były grubym lodem, a wichur dął bezlitosnym, mroźnym oddechem pośród otaczających je lasów, kniei i pól. Wszędzie biel, wszędzie zwisające kikuty sopli, wszędzie pustka tak przejmująca, jak gdyby wszystkie stworzenia postanowiły poczekać na powrót wiosny. Prawie wszystkie.

W samym środku puszczy, na zachód od Krotoszyna wykarczowano solidnych rozmiarów polanę, na której jeszcze późnym latem rozpoczęto budowę nowej osady. W mroźny, styczniowy poranek, pośród co rusz to wzbijanych w powietrze kłębow śniegu, brnąc po pas w zaspach przebijał się na ową polanę brodaty mężczyzna. Cały pokryty białym puchem, niczym nie wyróżniał się z otoczenia i tylko ruch zdradzał jego obecność.

– Dèmesio! Vilkai! – krzyczał zdyszany, dzierżąc wysoko nad głową łuk i garść strzał. Ubrany był w futrzaną czapę i gruby, podbity sukrem kozuch. Mozolnie, krok za krokiem, przemierzał dystans dzielący go od otaczających nowobudowane chałupy umocnień.

– Vilkai! – zawtórowały mu głosy kilkunastu mężczyzn, schowanych za sporządzoną naprędce, przykrytą gałęziami oraz grubą warstwą białego puchu zasieką – Netrukus!

Mężczyźni byli w sile wieku. Poubierani w długie, sięgające kolan, pikowane kaftany, z narzuconymi na plecy grubymi futrami i z lisimi, kunimi lub bobrzymi kołpakami na głowach. Przycupnęli za prowizoryczną osłoną z cisowymi łukami w rękę, a przed każdym z nich tkwiło kilkanaście wbitych w śnieg strzał.

– Idą psubraty! – rzekł Marcin do swojego pomocnika, wciąż patrząc w kierunku przebijającego się przez śnieg Litwina – Piekielniki! Tego roku nawet za dnia nie boją się wyłazić z lasu!

Marcin wyróżniał się spośród pozostałych strzelców. Spod narzuconej na głowę granatowej opończy wystawała krótko przystrzyżona broda, a rogowe okulary opadały na dopasowany, szary aketon. Okryty był obszernym, ciemnobrązowym płaszczem który dodatkowo przyprószył teraz nawiewany przez wiatr śnieg.

– Po co pan sprowadził aż tylu Litwinów? – rzekł pomocnik łowczego, zerkając nieśmiało na Marcina – Wystarczyło by ich kilku, a łuki można by dać na ten przykład panu Konradowi, bom widział że okrutnie szyc potrafi.

– Milcz! – rzekł twardo Marcin – Głupiś! Wilków tej zimy prawdziwa plaga. Nawet za dnia napadają okoliczne bydło i owce, trza więc się diabelstwa pozbyć. Konrad z łuku strzelać nie chce, bo leniwy, a ci tutaj to chłopy na schwał, obyci na co dzień z dziką zwierzyną.

Roch przytaknął, poprawił otulający go płaszcz i nasunięty na głowę kaptur. Przebijający się przez polanę strzelec dotarł wreszcie do zasieki i niezdarnie próbował przejść na jej drugą stronę. Dopiero dwóch innych Litwinów wciągnęło kompana za ubranie, po czym od razu wróciło na swoje pozycje. Zapanowała niepokojąca cisza

– Jeśli się tej wilczej zarazy do wiosny nie pozbędziemy, to z nowej osady w tym miejscu





nici – szeptem rzekł Marcin – Nikt nie zamieszka w środku lasu, kiedy mu nawet za dnia wilcy dobytek będą porywać.

Długo nie trzeba było czekać. Naraz z lasu wybiegło na polanę kilka dorodnych wilków, które niemal od razu ruszyły w stronę skleconej naprędce przynęty – niewielkiej zagrody z kilkunastoma, śmiertelnie przestraszonymi owcami.

– Šaudyti! – wrzasną któryś z Litwinów, po czym grad strzał poszybował w stronę opadającej zagrodę, liczącej kilkanaście osobników watahy. Strzelcy byli precyzyjni. Pociski uderzały z taką siłą, że ich impet odrzucał trafione wilki na kilka metrów, wzbijając przy tym tumany śniegu i znacząc białe podłoże krwawymi śladami.

Marcin wraz z pomocnikiem nie ustępowali precyzją litewskim najemnikom. Ich strzały raziły raz za razem kolejne, wpadające do zagrody, wygłodniałe bestie. Wilków jednak nie ubywało. W przeciwieństwie do strzał.

– Teisingai! – krzykną gardłowo ubrany w połatany kozuch i lisi kołpak mężczyzna. Schowani za zasieką Litwini obrócili się w prawo, a za nimi Marcin z pomocnikiem. Z prawej strony nadbiegały kolejne bestie. Ostatnie strzały łucznicy wypuszczali ze szczególnym namaszczeniem, uważnie celując. Nie zmieniło to jednak rezultatu tej bitwy.

Wilki dopadły do zagonionych w róg zagrody owiec i kolejno, metodycznie je wyciągały rozszarpując i wywlekając w las. Bezbronni strzelcy mogli się tylko bezradnie przyglądać

zgotowanej przez watahę rzezi. Po kilku chwilach na pokrytym krwią placu w pobliżu zagrody pozostała już tylko reszta spanikowanych owiec oraz kilkadziesiąt martwych, lub prawie martwych wilków. Litwini ochłonawszy dobyli przywieszonych u pasa kordów i niezdarnie pokonawszy zasiekę ruszyli w stronę wijących się, jeszcze zwierząt aby je dobijać.

– Psia mać! wrzasnął Marcin ciskając na śnieg łuk – tak się przed tymi bestiami nie obro-  
nimy! Nie możemy siedzieć w jednym miejscu, bo one wypadają na nas ze wszystkich stron!

– A może by tak też się podzielić? – zapytał drżącym głosem, jeszcze trzęsący się z prze-  
rażenia Roch – Może by tak poustawiać się w różnych miejscach?

Marcin zamilkł na chwilę, słysząc było jak ciężko oddycha.

– Masz rację nicponiu... - powiedział już spokojniej, rozcierając zgrabiałe od mrozu ręce  
– Poustawiamy się w różnych miejscach, a choćby w czterech rożkach tej polany...

## ROSZKI

Autorem legendy o pochodzeniu nazwy wsi od ustawionych w jej rogach łuczników jest Franciszek Mierniczak. Najprawdopodobniej jednak nazwa Roszki wywodzi się od znajdującej się nie-  
gdys w okolicy kaplicy poświęconej św. Rochowi – patronowi chroniącemu od zaraz i epidemii,  
nader częstych w naszych okolicach.

Sama wieś zdaje się zaś być o wiele młodsza niż czasy, w których osadziliśmy akcję legendy, po-  
nieważ pojawia się prawdopodobnie około XVIII stulecia.

## POJĘCIA WYSTĘPUJĄCE W TEKŚCIE

**Dėmesio! Vilkai!** – (lit.) Uwaga! Wilki!

**Netrukus!** – (lit.) Nadchodzą!

**...z lisimi, kunimi lub bobrzymi kołpakami na głowach.** – kołpak lub kołobuk to wywodzące  
się z Turcji nakrycie głowy, popularne w Europie Wschodniej między XIV a XVI stuleciem. Była to  
okrągła, futrzana czapka z aksamitną główką w kształcie cylindra, czasami zakończona spiczasto.

**...z cisowymi łukami w ręku...** – łuk jest bronią używaną już od ponad 35 tysięcy lat. W okresie  
późnego średniowiecza najpopularniejszym i najbardziej cenionym materiałem do wyrobu łu-  
ków prostych było elastyczne i wytrzymałe drewno cisu.

**...a rogowe okulary opadały na dopasowany, szary aketon...** – wbrew pozorom okulary nie  
są zbyt nowym wynalazkiem. Wynaleźli je Chińczycy w V w. n.e, jednak soczewki wynaleźli Ara-  
bowie na przełomie X i XI stulecia. W Europie zaczęto ich używać w XIII wieku we Włoszech, jako  
soczewki w drewnianej bądź rogowej oprawie.

**Šaudyti!** – (lit.) Strzelać!

**Teisingai!** – (lit.) Z prawej!







## Trzy młyny

Wnętrze niewielkiej izby wypełniał duszny aromat wiszących pod powalą pęków ziół. Mikołaj zdjął filcową czapkę, otrzepał ubranie z osiadłej na nim, porannej rosy i wygodnie rozsiadł się na stojącej przy drzwiach ławie. Czekał. W drugim końcu pomieszczenia, przy migotliwym świetle paleniska, krzątała się zielarka. Starsza kobieta ubrana w szaroburą, prostą suknię przepasaną zabrudzonym i nieco już podniszczonym fartuchem, ugniatała właśnie w niewielkim moździerzu wysuszone liście.

– Biercie to Mikołaju – powiedziała zielarka przesypując zawartość moździerza do niewielkiego, lnianego woreczka – zaparcie to waszej żonie dzisiaj wieczorem i jutro rano. Gorączka powinna ustąpić.

– Stokrotne dzięki Kunegundo – odrzekł Mikołaj wstając i wyciągając z sakwy kilka drobnych pieniążków – Macie tu zapłatę...

– Nie! – zaprzeczyła stanowczym gestem kobiecina – nie przyjmę od was pieniędzy. Jeśli wezmę, to wasze dzieci nie będą już w ogóle miały co do gęby włożyć.

– Tak się nie godzi – rzekł mężczyzna, kładąc jednocześnie monety na stojącym pod oknem stole – Za uczciwą pracę należy się zapłata, tak sam ksiądz Jakub mówił.

– Zapłata się należy, ale dziś od was nie wezmę – rzekła spokojnie Kunegunda – kiedyś przyjdziecie i połatacie mi dach, bo zaczyna przeciekać. To będzie wasza zapłata. Zgoda?

– Zgoda... - powiedział niepewnie i po dłuższym namyśle poczerwieniały z zakłopotania Mikołaj, po czym niezgrabnym ruchem schował z powrotem wyłożone na ławę pieniądze – Niech tak będzie, jeśli sobie życzycie. Z Panem Bogiem zatem!

– Z Bogiem dobry człowieku... - uśmiechnęła się Kunegunda – Z Bogiem...

Nieduża, szczytem zwrócona ku drodze chatka zielarki znajdowała się tuż przy bramie wrocławskiej. Mikołaj wyszedł na ulicę i schował do sakwy otrzymane od Kunegundy ziółka. Poranek był słoneczny lecz dość chłodny, mimo to na ulicach krzątało się już wielu mieszkańców miasteczka. Klekocząc patynkami mężczyzna ruszył w stronę rynku.

– Byłeś u tej wiedźmy? – usłyszał za swoimi plecami jadowity głos – Wytruje ciebie i całą twoją rodzinę biedny głupcze.

Mikołaj zatrzymał się, lecz nie odwrócił. Znał ten głos. Ciemnowłosa, młoda jeszcze kobieta w dość bogatej, karmazynowej sukni była żoną miejscowego medyka. Z zawiścią patrzyła na okoliczną ludność przybywającą do zielarki po ziołowe mikstury i napary.

– Zabije kogoś ta znachorka – kontynuowała kobieta podchodząc do Mikołaja – Otruje kogo. Tylko czekać jak do tragedii dojdzie...

– Gadacie tak Weroniko już od dawna – przerwał doktorowej Mikołaj – Łajacie bez przerwy o tym, że truje, że ze złym duchem ma konszachty, a to po zabiegach waszego Jarosława i po jego zabawach z pijawkami ludzie przez tygodnie nie wstają z łóżnicy.

– Nie wstają, bo złą krew trza upuścić – nie ustępowała kobieta – a znachorka z diabłem





konszachty ma i basta! Dlatego tak łącznie jej ziółka leczą. Duszę zaprzędajecie diabłu, miast do chrześcijańskiego medyka chodzić.

– Chrześcijański, jak powiadacie, medyk w swoim miłosierdziu oskubie mnie do goła – rzekł z przekazem Mikołaj – A ta, którą nazywacie wiedźmą, nie odmówi pomocy nawet jeśli wszystko co mam to wszy na łepetynie...

– Bluźnicie Mikołaju – przerwała mężczyźnie Weronika – Bluźnicie i jaka kara jeszcze was za to spotka.

– Mnie nie wystraszycie Weroniko – odparł bez wahania Mikołaj – Wiem, że zbałamuciście już wiele osób, ale większość zna was i waszego męża i wie niezawodnie, że Kunegundę obgadujecie dla pieniędzy. Boście z Jarosławem chciwi na błyskotki jak, nie przymierzając, te sroki. Tfu!

Mikołaj splunął kobiecie pod nogi i ruszył nie oglądając się za siebie. Zrobił ledwie kilka kroków, gdy usłyszał za swoimi plecami krzyki. Odwrócił się i zobaczył grupkę dzieci wytykających palcami wychodzącą z chałupki zielarkę.

– Wiedźma! Wiedźma! Czarownica! – wrzeszczały dzieci, a wszystkiemu przyglądało się kilku mieszczan z doktorową na czele. Tego było już za wiele. Mikołaj zsunął z nóg patynki i pobiegł w kierunku przemykającej opłotkami zielarki.

– Dajcie jej spokój! – wrzeszczał biegnąc – Wara od niej warchlaki! Wynocha! – krzyczał roztrącając dzieci na wszystkie strony – Do domów! Ale już, bo kulasy poprzetrącam!

Dzieci w końcu się rozbiegły, dorośli ruszyli do swoich zajęć, a zielarka przemknęła za bramę wrocławską. Na miejscu pozostał tylko Mikołaj i szyderczo uśmiechająca się Weronika. Mężczyzna spojrzał z pogardą na doktorową.

Kunegunda szła brzegiem stawu Lerz starając się nie rzucać w oczy. Szła w stronę położonego zaraz za miasteczkiem lasu aby nazbierać świeżych ziół. Przechodziła właśnie obok wzgórza na którym stały trzy wiatraki, gdy zza płotu wybiegł jej na drogę olbrzymi pies. Kobieta zamarła z przerażenia i omal się nie przewróciła

– Wynocha stąd więdźmo! – ryknął stojący w drzwiach młyna, rosły mężczyzna przybrudzony mąką i ubrany tylko w przywiązane do gacnika nogawice – Precz stąd!

– Wracaj do piekła czarownico! – krzyknął drugi, nieco młodszy, po czym podniósł z ziemi garść błota i rzucił w stronę kobiety.

Kunegunda ostrożnie ruszyła, starając się szerokim łukiem ominąć warczącego psa. Nagle poczuła ostry ból w lewym ramieniu. Zauważyła, że obok młyna jest jeszcze trzeci mężczyzna, który podnosząc z ziemi kamienie ciska je w jej stronę. To przelało czarę goryczy. Zielarka obróciła się i wyciągając przed siebie ręce wykrzyczała drżącym, lecz podniosłym głosem.

– Strzeżcie się! Nie minie miesiąc, a pożar jednego z was pochłonie i nigdy już nie będzie tu trzech młynów!

– A idź stąd głupia babo! – ryknął rzucający kamieniami, po czym cisną kolejny w stronę Kunegundy. Reszta młynarzy ryknęła rubasznym śmiechem, Kunegunda natomiast, trzymając się za zbite ramię i co chwila się potykając, pobiegła w las.





Przekleństwo zielarki wypełniło się co do joty. Przechodzące przez miasteczko, gwałtowne burze zniszczyły najpierw pierwszy z wiatraków, a gdy go odbudowano, piorun zniszczył kolejny. Sytuacja powtórzyła się po odbudowie drugiego, wtedy to pożar zniszczył i trzeci młyn. Podobnie działo się przez wiele następnych lat, nawet po śmierci zielarki, każda próba odbudowy wiatraka kończyła się zniszczeniem następnego. Widząc bezcelowość kolejnych remontów zaniechano ich i w miasteczku pozostały jedynie dwa młyny.

### **ULICA MŁYŃSKA**

W czasach gdy lokowano Krotoszyn w mieście funkcjonowały tylko dwa młyny, a ze względu na dużą liczbę strumieni i potoków były to zapewne młyny wodne. Jeden z nich należał do mieszczan, drugi był własnością dziedzica i miał wyłączność na mielenie słodu, który służył do wyrobu domowego piwa.

Sama konstrukcja wiatraków była znana w Azji już w IX, a w Europie w XII stuleciu, jednak w naszym regionie pojawiają się one dopiero w epoce nowożytnej. Osadzenie wiatraków w okolicach Krotoszyna na początku XV stulecia jest koniecznym dla zachowania sensu legendy nadużyciem.

Jeśli chodzi o położenie owych trzech wiatraków, to jeszcze w czasach pruskiego zaboru ulicę wiodącą do miejsca gdzie miały one stać nazywano Dreimullerstrasse, czyli ulicą Trzech Młynów. Po odzyskaniu niepodległości ulica zyskała swą dzisiejszą nazwę, czyli ulicę Młyńską. W początkach XV stulecia w tym miejscu znajdował się wzmiankowany staw Lerz, o czym świadczy widoczne dziś gołym okiem obniżenie terenu przy ulicy Kościuszki. Nad tym właśnie stawem niektórzy historycy sytuowali położenie miejskiego młyna z czasów lokacji Krotoszyna.

Legendę o „Trzech młynach” można przeczytać w maszynopisie Antoniego Nawrockiego „Krotoszyńskie opowieści z lat dawnych”, znajdującego się w bibliotece krotoszyńskiego muzeum.

### **POJĘCIA WYSTĘPUJĄCE W TEKŚCIE**

**Klekocząc patynkami...** – patynki to najczęściej drewniane nakładki na buty w formie dowiązywanej lub dopinanej, grubej podeszwy. Zadaniem patynek była ochrona kosztownego obuwia przed warunkami atmosferycznymi (kałuże, błoto, etc...) lub ułatwienie poruszania w trudnym terenie.

**...przywiązane do gacnika nogawice...** – gacnik albo pas gacny, to zszyty z kilku warstw tkaniny pas, służący do o wiązania i podtrzymywania nogawic. Nogawice z kolei, to dopasowane do ciała oddzielne nogawki, mocowane do jopuli spodniej (dubletu) lub wzmiankowanego gacnika. Aż do XV stulecia nie używano w Europie spodni, a ich rolę pełniły właśnie nogawice.





## Legenda o św. Jadwidze

Jaktor, pan na Włodyce rozsiadł się na ozdobnym, rzeźbionym karle. Szpakowaty mężczyzna ubrany był w zdobiony haftami, czerwony surcot na którym, wbrew panującej modzie, luźno zwisał nabijany srebrnymi guzami pas. Zamyślony, obracał w palcach wychylony przed chwilą, szklany puchar. Zdawać by się mogło, że nie dostrzegał nikogo w obszernej, drewnianej izbie donżonu. Ani straży stojącej przy drzwiach, ani służby krzątającej się przy kominku i piekącej w nim upolowanego jeszcze tego ranka dzika, ani starszej kobiety, która ze skromnie opuszczoną głową stała pośrodku sali.

– Przypomnij mi jeszcze raz – rzekł wyniośle Jaktor delektując każdym słowem – o co mnie prosisz?

– Wielmożny panie! – zaczęła ponownie kobieta, ubrana w zgrzebny, cysterski habit – Udaję się z pielgrzymką do grobu świętego Wojciecha w Gnieźnie. Trzy dni temu wyruszyłam z Trzebicy, jednak przez twoje, szlachetny panie, włości przedostać się nie mogę. Rzeczka, którą tutejsi wołają Orlą, pozalewała okoliczne łąki, pola a nawet trakty i nie ma sposobu, aby ją przebyć. Proszę cię zatem, mości rycerzu, o pomoc. Każ swoim ludziom przeprowadzić mnie na drugą stronę rzeki, a ja obiecuję, że modlitwy u grobu świętego męczennika w twojej intencji nie poskąpię.

Jaktor krzywo się uśmiechnął. Sam się sobie dziwił, że jeszcze starego babska na cztery wiatry nie przepędził. Za mniejsze przewinienia, niż naruszanie jego świętego spokoju zwykł był miejscowych zakuwać w dyby lub wtrącać do lochu.



– Nie! – powiedział z szyderczym uśmiechem, odkładając puchar na stojącą przed nim ławę – Nie pomożemy ci. Skoro sam Bóg zesłał deszcze, które pozalewały drogi, znaczy że w Gnieźnie ciebie nie chce.

– Szlachetny panie! – rzekła podnosząc wzrok kobieta – Może to właśnie tobie Bóg chce dać szansę na dobry uczynek, jakim byłaby niezawodnie pomoc jego pokornej służce...

– Precz! – rzekł, biorąc głęboki wdech – Powinnaś nam za to jeszcze podziękować. Do Gniezna droga daleka, niebezpieczna i jeszcze może by ci się po drodze co złego przytrafiło. Zatem wracaj skąd przyszłaś i nie trać więcej naszego cennego czasu, bo nahajami do samej Trzebicy każę cię odprowadzić.

Kobieta skłoniła się pokornie, po czym wolnym krokiem ruszyła ku wyjściu. Jaktor wstał, ponownie napełnił puchar dwójniakiem, po czym zaczął się nerwowo przechadzać się w tę i z powrotem. Coś mu nie pasowało w owej starej, coś było nie tak. Maniery, ruchy, wzrok kobiety nie przypominały mu pokornych zakonników i pątników, a pasowały raczej do dworzan.

– Józwa! – krzyknął nagle na jednego ze zbrojnych. Wysoki i szczupły mężczyzna w pikowanym kaftanie i kapalinie szybko podbiegł do pana – biegnij do Gierka i każ mu zaprzęgać wóz. Niech jedzie za tą starą i ją przewiezie przez rozlewiska. Niech się pospieszy.

Józwa ze zdumienia szeroko otworzył oczy, ale nie śmiał nic rzec, wybiegł długimi susami z komnaty.

Gierko, ubrany w czarne cote mężczyzna z krótko przystrzyżoną bródką, z niedowierzaniem, acz bardzo szybko, wykonał polecenie pana. Zaprzągnął woźnika do prostej powózki, dosiadł go i najszybciej jak mógł ruszył lasem w stronę traktu prowadzącego do Torunia.

Dojeżdżając do zalanej części drogi zauważył idącą powoli, ubraną w habit kobietę. Zwołał i ją uważnie się przyglądać pielgrzymującej staruszce. Dostrzegł, że nie zwróciła najmniejszej uwagi na zalaną część drogi i, jakoby jej nie widząc, ruszyła dalej. Gierko zatrzymał powózkę i zaczął jeszcze uważniej wpatrywać się w to dziwne zjawisko. Staruszka zdawała się nie tonąć, wręcz przeciwnie, wydawało się jakoby szła po tafli wody. Woźnicę przeszedł dreszcz. Zawrócił czym prędzej powózkę i pognął w kierunku drewnianego kasztelu we Włodyce.

Gnał ile sił przez puszcę i knieje, chciał opowiedzieć panu o tym, co zobaczył. Gnał na złamanie karku mimo, że bał się kary, bał się, że Jaktor mu nie uwierzy. Był jednak pewien tego co widział. Popędzał pniącego się już i charczącego coraz wyraźniej konia, a powózka dziko podskakiwała na koleinach i gałęziach trzeszcząc okrutnie. Gdy wjechał na otaczającą kasztel, obszerną polanę zdębiał i gwałtownie zatrzymał zaprzęg. Kasztelu nie było, a w jego miejscu znajdował się niewielki pagórek. Gierko uważnie rozejrzał się dookoła. Ptaki zamilkły, zapanowała złowroga, nienaturalna cisza. Koń zaczął nerwowo potrząsać łbem. Zawył wiatr i właśnie wtedy woźnica usłyszał dochodzące spod pagórka, głuchoe zawodzenie.

Dzień był gorący, mimo że dobiegał już końca. Kilku robotników, budujących wieżę przy kościele w Pępowie siedziało w samych tylko koszulach i braies na szczycie drewnianego, powiązanego sznurami rusztowania. Wszędzie dookoła wały się narzędzia i ciężkie, wypalane cegły. Sami budowniczcy popijając podpiwek i jedząc słone podpłomyki obserwowali zalaną przez miejscowe rzeczki i potoki okolicę. Zauważyli idącą od strony Włodyki, ubraną w habit i przepasaną zwykłym, konopnym sznurem kobietę. Kobieta weszła pomiędzy kryte strzechą chaty, a przechodząc pod kościółkiem zatrzymała się, uklękła i poczęła się modlić.

– Patrzaj gdzie to włązi! – zwrócił się jeden z budowniczych do swoich kompanów – jeszcze co spadnie jej na tę durną łepetynę i tylko kłopot będzie...

– Wynoś się stąd starucho! – wrzasnął gromko drugi z robotników – Wynoś się bo jeszcze co ci na głowę spadnie!

Staruszka spojrzała z żalem w stronę siedzących na rusztowaniu mężczyzn, przeżegnała





się, po czym wstała i spokojnie ruszyła w dalszą drogę.

– Dewotka! Łazi to takie... - zaczął kolejny z murarzyków, lecz już nie dokończył... Deska na której siedział pękła z okrutnym trzaskiem, a on sam z przerażającym wrzaskiem spadł ziemię. Powietrze przeszył przyprawiający o dreszcz głuchy dźwięk łamanych kości. Pozostali robotnicy siedzieli osłupiali, kurczowo trzymając się desek rusztowania.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Wychodząc z Pępowa staruszka weszła na rozległe łąki, przecięte sporych rozmiarów rwącym potokiem. Na łąkach wypasały się owce, pilnowane przez kilka biegających pomiędzy nimi i ujadających psów. Nieco dalej, leniwe pasemko dymu unosiło się znad ogniska, przy którym przysiadło czterech młodych mężczyzn w krótkich tunikach i słomianych kapeluszach. Ci, zauważywszy pielgrzymującą kobietę jęli się jej z zaciekawieniem przyglądać.

Staruszka przysiadła zmęczona na pobliskim, trawiastym wzgórku i zaczęła się rozglądać, poszukując miejsca, w którym mogłaby przeprowić się na drugą stronę strumienia. Zauważywszy wystający z wody, dość duży kamień wstała i stawiając na nim stopę sprawnie przedostała się na drugi brzeg. Podnieśli się również pastuszkowie, aby móc lepiej przyglądać się poczynaniom kobiety. Staruszka ruszyła dalej w stronę Torunia, natomiast młodzieńcy wrócili do swego ogniska

Nazajutrz jeden z pastuszków idąc do strumienia po wodę zabrał ze sobą dwa, klepkowe wiaderka. Wody jednak nie nabrał, a wiaderka zgubił gdy, upuściwszy je, pobiegł czym prędzej do swoich kompanów, by powiedzieć im o tym co zobaczył. Na wystającym z potoku, sporych rozmiarów kamieniu znajdował się głęboki i wyraźny odcisk drobnej, kobiecej stopy...

## PIELGRZYMKA ŚWIĘTEJ JADWIGI

Tę legendę osadziliśmy wyjątkowo w realiach XIII stulecia, w czasach życia księżnej śląskiej – Jadwigi. Opracowane przez nas podanie, jest kompilacją dwóch legend o św. Jadwidze funkcjonujących w naszych okolicach. Pierwsza, młodsza, to niepublikowane „Podania i klechdy krotoszyńskie” zebrane pod kierunkiem Hieronima Ławniczaka, druga zaś, starsza wersja została przedstawiona przez Oskara Kolberga w „Kamieniu św. Jadwigi w Pępowie”.

Obie wzmiankowane wersje podania są ze sobą sprzeczne. Legenda według H. Ławniczaka mówi, iż po złajaniu świętej przez budowniczych, jeden z nich zginął, a wieży nigdy nie dało się ukończyć, ponieważ układane cegły same spadały – dlatego też szczyt wieży jest płaski. Według O. Kolberga pastuszkowie rozpowszechnili wieść o związanym z Jadwigą, cudownym wydarzeniu, przez co w miejsce przeprawy zaczęli przybywać ciekawscy wędrowcy, a z czasem wokół strumienia zaczęła powstawać wioska. Na wzgórku, gdzie święta Jadwiga odpoczywała wybudowano kościółek pod jej wezwaniem. Autor sugeruje, że kamień z cudownym odciskiem stopy do dziś leży przy strumieniu, który nazwano Dobrocnią.

Niemożliwe jest aby ktoś o pozycji księżnej pielgrzymował samotnie. Pielgrzymki takich osób odbywały się przy udziale zbrojnych i dworskich orszaków, całkowicie niezależnie od skromności czy pobożności pielgrzymującego. Trasa takiej ewentualnej pielgrzymki z Trzebicy do Gniezna mogła częściowo pokrywać się ze szlakiem handlowym, który prowadził z Torunia do Wrocławia i faktycznie przechodził między innymi przez Milicz, Baszków, Starogród (Starygród) i Pyzdry.

Pępowo natomiast jest starą wsią, która pojawia się w źródłach już 1136 roku, jako własność arcybiskupa gnieźnieńskiego. W 1257 r. utworzona została we wsi odrębna parafia, jednak pierwotny kościół świętej Jadwigi powstał tu dopiero w XV stuleciu i był w całości drewniany. Późnogotycka, murowana świątynia stanęła tam dopiero w 1625 roku i była remontowana oraz przebudowywana. Faktem jest, że w 1734 wichura zerwała dach kościoła i częściowo uszkodziła wieżę, którą odbudowano dopiero w 1830 roku.

## POJĘCIA WYSTĘPUJĄCE W TEKŚCIE

**Św. Jadwiga Śląska** – (księżna Jadwiga z Andechs – Meran) urodziła się między 1174, a 1180 w Andechs jako córka Bertolda IV, księcia Meranii i Agnieszki von Rochlitz z Saksońskiego rodu Wettinów, hrabiów Andechs. Była żoną Henryka I Brodatego, księcia wrocławskiego, z którym miała siedmioro dzieci, między innymi poległego w bitwie z Tatarami pod Legnicą Henryka Pobożnego. Wraz z mężem była bardzo religijna, zaślęła jako fundatorka kościołów i klasztorów (między innymi sióstr cysterek w Trzebnicy), zorganizowała działalność wędrownego szpitala dla ubogich, otworzyła szpital dla trędowatych w Środzie Śląskiej oraz lecznicę w Trzebnicy. Po 19 latach małżeństwa z Henrykiem Brodatym oboje złożyli śluby czystości, a po śmierci męża w 1238 roku zamieszkała w trzebnickim klasztorze. Zmarła 15 października 1243 roku i została pochowana w kościele w Trzebnicy, a 24 lata później została kanonizowana. Część jej relikwii przeniesiono do opactwa w Andechs.

**...pan na Włodyce...** – Włodyką nazywano dawniej zachodnią część wsi Baszków. Część ta miała być oddzielną wsią co najmniej do 1546 roku. Nie jesteśmy pewni czy wieś ta istniała w XIII wieku, ponieważ pierwszy zapis o Baszkowie pojawił się dopiero w 1457 roku.

**...rozsiadł się na ozdobnym, rzeźbionym karle...** – w tym kontekście karłami nazywano w średniowieczu bogato zdobione krzesła.

**...ubrany był w zdobiony haftami, czerwony surcot...** – surcot stanowił męski ubiór wierzchni



od XIII do początku XIV wieku. Była to długa, zakładana przez głowę luźna szata z rękawami, które można odrzucić na plecy. Surcot wykonywano z sukna i podszywano najczęściej płótnem. Surcot nie był spinany pasem.

**...w obszernej, drewnianej izbie donżonu...** – wieża na planie koła, owalu, prostokąta lub wieloboku, łącząca w sobie główne funkcje mieszkalne i obronne zamku, nazywana również stołpem.

**...ubrana w zgrzebny, cysterski habit...** – Cystersi nosili i noszą nadal białe habity z czarnym szkaplerzem, który przepasany jest płóciennym pasem.

**...zwykł był miejscowych zakuwać w dyby...** – dyby to drewniane, dwuczęściowe pęta z otworami na ręce i głowę, a czasami także na nogi. Po zamknięciu obie części zbijano gwoździami drewnianymi lub zamykano na kłódkę.

**...ponownie napełnił puchar dwójniakiem...** – miód pitny to tradycyjny napój alkoholowy powstały w wyniku fermentacji brzezki miodu pszczelego, najczęściej lipowego. Wyrabiany był i spożywany od średniowiecza między innymi w Polsce i na Litwie. Zgodnie z tradycją miody dzielą się w zależności od stopnia rozcieńczenia, im miód mniej rozcieńczony, tym bardziej szlachetny. Miody dzielą się zatem na półtoraki (stosunek objętości miodu do wody to 1 do ½), dwójniaki (stosunek objętości miodu do wody to 1 do 1), trójniaki (stosunek objętości miodu do wody to 1 do 2), czwórniaki - (stosunek objętości miodu do wody to 1 do 3).

**...ubrany w czarne cote mężczyzna...** – cote to spodni ubiór męski noszony w XIII i na początku XIV stulecia. Było ono nieco dłuższe od surcot i sięgało do połowy łydki. Od pasa w dół poszerzano je klinami lub rozcinano z przodu i z tyłu. Cote było luźnym ubiorem bez podszewki, dopasowane były jedynie rękawy.

**...Zaprzął woźnika do prostej powózki, dosiadł go...** – woźniki to po prostu staropolska nazwa koni pociągowych. Warto zauważyć, że do XVII stulecia woźnica najczęściej nie powoził z wozu, lecz siedział na koniu pociągowym. Jeśli koni było kilka, to woźnica przeważnie siedział na lewym woźniku.

**...w samych tylko koszulach i braies...** – braies lub w języku polskim gacie, w XIII wieku długie, których nogawki wiązywano tasiemkami na wysokości kolan.